

CZYT. GŁÓWNA
39161

Str. odd. dos. : 24.654.T.
ST. TARNOWSKI

SKUTKI ROZSTROJU
ROZRUCHY

ST. TARNOWSKI. SKUTKI ROZSTROJU ROZRUCHY

W KRAKOWIE

W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego
1898

ST. TARNOWSKI

SKUTKI ROZSTROJU ROZRUCHY



W KRAKOWIE

W Drukarni „CZASU” FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Lakocińskiego

1898

71.483
Zbiory specjalne

D-100h4

CZYT. GŁÓWNA

19652

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0283477

Wyłączono z zasobu
dubletów Bibl. Jagiell.



39161

NAKŁADEM AUTORA.

I.

Stan wojenny w dwóch powiatach — stan wyjątkowy w trzydziestu trzech! Do tego doszli. Smutne. Nie możemy zaprzeczyć, owszem musimy przyznać zupełnie szczerze, że rząd nie mógł postąpić inaczej, że musiał postąpić tak. Gdzie ludzie napadają jedni na drugich, tłuką i niszczą rzeczy a biją ludzi, podpalają — tam porządek publiczny jest zachwiany, bezpieczeństwo życia i mienia zagrożone. Rządu zaś pierwszym obowiązkiem i pierwszą racyą bytu, jest właśnie ten porządek i to bezpieczeństwo. To nie jest stan oblężenia taki, jaki pamiętamy z dawniejszych czasów austriackich, ogłoszony z powodów politycznych, zwrócony przeciw dążności, czy polityce pewnego narodu i kraju. Tym razem on ma czysto cel i charakter zabezpieczenia ludzi od zaburzeń i burzycieli. Smutne dla nas, i wstyd, żeśmy się do takiego stanu doprowadzić dali; ale rządowi nie możemy brać za złe, owszem musimy mu przyznać i rację i zasługę, że takiemu stanowi rzeczy chce położyć tamę i kres.

Zarzut spada na rząd raczej z innego powodu: z tego, że do tej ostateczności dopuścił. Strzelać do ludzi i zawiesić nad nimi sądy doraźne, to nie sztuka, kiedy rzecz stała się nieuniknioną; unikać

jej, uprzedzać ją, niedopuszczać do niej, to sztuka rządzenia — i to powinność rządu; a ta spełniona nie była. Gdyby rząd nie był znosił zaburzeń w słowie i piśmie, coraz wyraźniejszych, coraz gwałtowniejszych przez lat kilka, nie byłoby dziś tych zaburzeń w uczynku, przeciw którym musiał użyć najsilniejszego ze środków surowości. *Principis obsta*, to w polityce, a zwłaszcza w zaburzeniach, maksyma tak prawdziwa i doświadczeniem stwierdzona, jak tam, gdzie chodzi o złe skłonności i namiętności jednego człowieka. Rząd początkowo tamy nie kładł środkami zwykłymi: do-czekał się tego, że złemu rozwiniętemu musi kłaść tamę tak nadzwyczajnymi, tak bolesnymi dla społeczeństwa i dla rządu samego, jak ten, którego u nas użyć widział się zmuszonym.

Rozruchy między ludem wiejskim w powiecie jasielskim, gorlickim, strzyżowskim, a na ostatku największe w sądeckim, były nieuniknionym a zdawna przewidywanym skutkiem długiej systematycznej bezkarności, folgowania wichrzycielom i wichrzeniem pod wymówką konstytucyjnych wolności. Przykra jest bardzo rola Kassandry, zwłaszcza kiedy się jej przepowiednie sprawdziły: a to jest rola właśnie nasza, rola tego pisma. Nie wspominając już o tych latach trzydziestu, od których powtarzamy napróżno, że od lepszej organizacji gmin i administracji w ogóle; zależy społeczna harmonia, zatem polityczna i narodowa siła tego kraju, od lat dziewięciu, od dnia kiedy po raz pierwszy śmiało odezwano się głośno hasło *chłop przeciwko szlachcicowi*, wolaliśmy, że to musi skończyć się źle, jeżeli nie powstrzyma się wczesnie i stanowczo. Nie słuchał nikt. Społeczeństwo, bo w jednej części nie wiedziało jak sobie radzić, w drugiej, bo nie chciało narażać się opinii, wydać się nie demokratycznym, nie postępkiem; w trze-

kiej wreszcie, bo ten rozstrój i rozkład właśnie wydaje mu się demokracją i postępem. Rząd nie wstrzymywał, bo się bał interpellacji w Radzie państwa, choć zawsze mógł na nie odpowiadać rzetelnie a zwycięsko. Nie mógł wstrzymywać Kościół, choć chciał i próbował, bo władzy nie miał, bo nie miał nawet u władz świeckich takiego poparcia, jakie one w swoim własnym interesie dawać mu były powinny; musiał owszem patrzeć, jak pewna część duchowieństwa narażona była na niebezpieczeństwo szerzącej się zarazy.

Skończyło się też źle. Kto sieje wichry, albo siać je pozwala, ten burze zbierać musi.

Od pół wieku wiemy, że pierwszą sprawą tego kraju, zatem pierwszym obowiązkiem każdego w nim Polaka, jest przywrócenie i utrzymanie społecznej równowagi, zaufania i życzliwości między różnymi warstwami ludności. Od trzydziestu lat mamy rząd w rękach polskich; od góry do dołu, od namiestnika do woźnego, sami Polacy i wszyscy Polacy. I po tych trzydziestu latach dochodzimy do tego, że rząd musi — istotnie musi — zaprowadzać stan wyjątkowy. Zdawało się, że idziemy ku lepszemu, że stosunki społeczne, zepsute straszliwie rokiem 1846, zaczynają się poprawiać; nie było to nawet zupełnem złudzeniem, było poniekąd prawdą, faktem. Ale właśnie dlatego, że tym było, trzeba było psuć, co było naprawione, odrabiać to trochę, co było zrobione. Rządy polskie w Galicyi, i stan tego kraju polskiego, rozwijający się pod temi rządami? To rzecz bardzo nie pożądana dla nieprzyjaciół zewnętrznych! Ład społeczny i polityczna siła rozwijające się w zgodzie i porozumieniu z rządem i z Kościołem, to rzecz zgubna dla anarchii wszelkiego odcienia i stopnia! A więc, kiedy w Galicyi zaczęło być lepiej, trzeba wszystkie

usiłowania na Galicyę skierować i wyteżyc, żeby do lepszego stanu nie dopuścić, a gorszy sprowadzić i utrzymać. — Wyteżyły się też te usiłowania, od lat w każdym razie dziewięciu, i odniosły swój skutek. Wszystkie radykalne i rewolucyjne passye i indywidualne, w różnych kształtach i maskach, socjalistycznych, niby religijnych, niby patriotycznych, niby *chrześcijańsko-społecznych*, wzięły się do dzieła, i maszerując osobno, ale atakując razem, burzyły to co się przez trzydzieści lat jako tako budowało. Gotowało się to, wzbierało przez całe lata, aż nareszcie pękło. Gdyby to za rządów biurokracyi niemieckiej, byłoby smutne zawsze, ale o wiele mniej smutne. Odpowiedzialność spadałaby na nią, nie na nas. Ale w dzisiejszym stanie rzeczy wszyscy nieprzyjaciele nie omieszkają z tego korzystać, pomijając milczeniem okoliczności, które zmniejszają naszą odpowiedzialność, a z tryumfem uragać rządowi polskiemu w Galicyi.

Do tego prawa nie mają. W państwie, gdzie w parlamencie posłowie biją się na pięści, gdzie żadna uchwała stanąć nie może, bo nie pozwala na to mniejszość, gdzie ludzie myślący i poważni nie mają odwagi wyprzeć się i odrzucić warcholów, ale dają się im terroryzować i prowadzić: w państwie, gdzie dymisya gabinetu ogłasza się plakatami i mowami burmistrzów-trybunów — w takim państwie nikt nie ma prawa się dziwić, ani gorszyć, że zbiegowiska po wsiach i miasteczkach napadają na Żydów. To jest tylko inny objaw tego samego złego, a łatwiejszy do zrozumienia i wytłumaczenia, przez to właśnie, że zdarzający się pośród nieoświeconych.

To mamy do powiedzenia na zewnątrz, po za granice tego kraju. Ale co mamy do powiedzenia sobie samym, tu w kraju: szlachta, księża, chłopci, mieszczaństwo, urzędnicy, wszyscy — społeczeństwo i rząd?

Mamy sobie do powiedzenia, że złe jest wielkie, a odsłania stan wewnętrzny, mocno nadpsuty. Pod groźbą sądów doraźnych rozruchy się nie powtórzą zapewne tam gdzie już były, nie zdarzą się tam gdzie ich jeszcze nie było. Ale zostanie zawsze fakt, i zostanie wrażenie: rząd strzelał do chłopów! Takie wrażenie staje się wspomnieniem, staje się legendą. Po całym kraju rozejdzie się hasło: w obronie Żydów rząd strzelał do chłopów! Dalej do tego hasła przybędzie dodatek: rząd polski strzelał do chłopów! I wreszcie: panowie i Żydzi w spółce kazali strzelać do chłopów! Ludzie, którzy widzieli trupy padające we Fryszaku, ludzie którzy stracili swoich ojców czy synów, nie będą mogli na pociechę zrobić sobie tego rozumowania, że kiedy tłum wezwany do rozejścia, rozechodzić się nie chce, kiedy ktoś z tego tłumu rzuci się na żandarma i zrani go, to żandarm musi dać ognia. Tego sobie ci ludzie powiedzieć nie są zdolni; ale są zdolni zapamiętać, co im Żydzi zresztą z urąganiem powtarzają: „U Żydów padały tylko szyby, a u chłopów trupy“.

To jest wrażenie, które po tych wypadkach w każdym razie zostać musi: — i musi zrodzić, utrwalić na długo, ten ferment, ten społeczny kwas, który jest naszym zakażeniem krwi. I o to właśnie chodzi. Ktokolwiek są ci agitatorowie, ci *przyjaciele ludu*, którzy do rozruchów podzegli, czy radykaliści własni polscy, czy przez obcych nasadzeni, zawsze oni postawili na swoim: nienawiść społeczną w narodzie i kraju polskim podnieśli do wyższej potęgi i utrwalili znowu na pewien przeciąg czasu.

A dopieroż, jeżeli, jak my sądzimy, rozruchy nie były faktem oderwanym, luźnym, ale skutkiem długiego systematycznego przygotowania, próbą generalną osiągniętych rezultatów, mobilizacją sił,

jakie się ma do rozporządzenia? Prologiem tej rewolucyi społecznej, która jest celem i ideałem radykalnych ludzi i fakej? Tłum który bezmyślnie dał się rzucić na Żydów, oczywiście jest pod komendą, daje się wodzić i uwodzić, i da się rzucić przez swoich przywódców na kogo oni zechcą, i kiedy zechcą. Panująca niechęć do Żydów nadawała się doskonale do takiej pierwszej próby, i zreżnieniu w tę stronę uderzono najpierwej. Jak się to poszczęści, to pokaże się, co i kiedy przedsiębrać dalej!

Gdzie tkwią powody złego? W stanie ekonomicznym niezaprzeczenie: w ubóstwie chłopa, i w częstem, niemal powszechnem, wyzyskiwaniu chłopa przez Żyda. Są podobno wypadki, że chłop za długi oddawał dzieci Żydowi w służbę daremną; wydzierzawianie w niewolę w Starym Zakonie praktykowane, zatem Żydowi dozwolone, ale dla chrześcijańskiego sumienia takie gorszące i straszne, że włosy stają na głowie. Środki zaradcze, gdyby nawet kraj i ludzie prywatni mieli największe, dobre skutki wydają po latach dopiero. To, co się pod tym względem robiło i robi, nie mogło jeszcze naszego stanu ekonomicznego znacznie zmienić na lepszy.

On był więc tłem, warsztatem, na którym pracowały wpływy i przyczyny inne.

Przedewszystkiem pisma peryodyczne i zgromadzenia. Kiedy przez całe lata kilkanaście piasek powtarza człowiekowi ubogiemu, że większy majątek drugiego jest jego krzywdą, kiedy się dmucha z całych sił i z różnych stron naraz, na to, by iskrę nienawiści roztląć, a potem rozżarzyć, kiedy w każdym numerze każdego piaska, w każdym przemówieniu wiecowego oratora, ludowca, czy socyalisty, czy stojałowszczyka; niema nic innego tylko podżeganie uboższego przeciw bogat-

szemu, z nieuniknioną przyprawą kłamstw, oszczerstw, potwarzy, fałszów wszelkiego rodzaju, nie może być inaczej, tylko taki zasiew swój plon wydać musi. Główne źródło złego jest w redakcyach wszystkich *Naprzodów*, *Wieńców*, *Pszczółek*, *Przyjaciół ludu*, i jak się tam one zresztą nazywać mogą — w przemówieniach wszystkich p. p. Daszyńskich, Stapińskich, Danielaków, Stojałowskich, Kozakiewiczów i *tutti quanti*. Ludność przez nich rozwiecowana, wprawiona w stan gorączkowy, traci już jasność sądu i świadomość swoich kroków. Fakt charakterystyczny: w jednej okolicy powiatu jasielskiego, zeszlóroczny nieurodzaj spowodował nie głód, ale wielką biedę. Wydział Krajowy przysłał kilka tysięcy na roboty, żeby dostarczyć zarobku. Do tych robót najmuja się ludzie z dalszych okolic, albo przechodni, ale miejscowi, choć w niedostatku, nie idą: myślą i mówią o zgromadzeniach i wiecach! Gorączka się wzmacnia tam gdzie przypadek zrzadza nowe wybory: jak właśnie w tych okolicach, gdzie były rozruchy. Zwolennicy p. Stapińskiego zwalają winę na X. Stojałowskiego, zwolennicy Stojałowskiego na Stapińskiego — na prawdę wina nie spada ani na jednych, ani na drugich wyłącznie, tylko na wszystkich razem, łącznie. Dalsza wina, i bardzo wielka, jest wina rządu. Ten mógł, i powinien był, widzieć odrazu i oddawna, że się porządek społeczny w jego rękach psuje, i powinien był spełnić swój obowiązek, czyli publicznego porządku strzedz. Obowiązek w tym razie był większy, niż z natury swojej jest zawsze, bo chodziło o to, żeby utrzymać i zabezpieczyć dobrą sławę, i siłę, polskiego kraju, społeczeństwa i rządu. Rząd tego obowiązku nie spełnił. Gdyby był wstrzymał pierwsze nadużycia, czy drukowane, czy mówione, nie byłby musiał teraz strzelać do

ludzi. Rząd się tłumaczy, że nie poradzić nie mógł, bo ustawy konstytucyjne gwarantują wolność słowa, prasy i zgromadzeń. Prawda. Tłumaczenie słuszne; ale tylko częściowo słuszne. Żadna konstytucja nie znosi kodeksu karnego: a każdy numer pisma dla ludu, każde przemówienie jego *przyjaciół*, podpadało pod ten lub ów zakaz kodeksu karnego. To przestrzegane nie było: bezkarność była wielka, i obfita w skutki. Rząd się tłumaczy niezależnością sądów: on im nie przecież nakazać nie może! I to prawda. Ale jeżeli minister sprawiedliwości nie naruszył niezależności sądów, kiedy zauważył, że *procent* procesów prasowych jest w Galicyi za wielki — nie pytając o to, czy nie było w nich słusznego powodu — to tak samo nie byłby przeciw niezależności sądów wykroczył, gdyby był zwrócił ich uwagę na to, że prasa podkopyje porządek społeczny w Galicyi. Tego nie zrobił. Jeżeli konstytucja ma służyć za ekskuzę czy za pretekst anarchii, jeżeli każe czy pozwala ją tolerować, to ją niechęć choduje i proteguje. Taka konstytucja jest oczywiście zła, i należy ją zmienić. Zrozumiał to gabinet margr. Rudiniego we Włoszech po medyolańskich zaburzeniach: nie zrozumiał włoski parlament, i gabinet upadł, podał się do dymisji. Prawdopodobnie tak samo byłoby w Austrii, gdyby jaki gabinet zdobył się na taką myśl, jak gabinet włoski. Tam paradoksalne pojęcie konstytucyjnej wolności zwyciężyło i zostało. Ale co za lat kilka zostanie z włoskiego królestwa, jeżeli to dalej potrwa, to pytanie.

Sławny antysemityzm przyczynił się także do galicyjskich zaburzeń. Rzecz godna uwagi: w chwili, kiedy ogłoszono, że wszystkie religie są zarówno dobre, a wiara w Jezusa Chrystusa, lub niewiara, nie stanowi żadnej różnicy między ludźmi, w tej

chwili wystąpiła plemienna nienawiść Żyda, jego pochodzenia, jego krwi. Nie godziwa, nie chrześcijańska, i niezgodna z cywilizacją, rozeszła się po całej Europie, jak zaraza. Doszła i do nas, i znalazła grunt bardzo dla siebie przydatny w pieniężnej zależności chłopów od Żyda. Znalazła też swoich wyzyskiwaczy, swoich spekulantów. Karyerowicze różnego rodzaju w państwie austriackiem dostrzegli sprytnie, że to konik, na którym nikt nie jeździ. a na którym gdzieś dojechać można. Wsiedli na niego, i pojechali. Charakterystycznie bardzo żadna z tych partij nie dała sobie nazwy *partyi katolickiej*. Przypadek, czy rozmyślne postanowienie, ale słusznie nie dają sobie tej nazwy, bo nie mają w sobie rzeczy. Katolik prawdziwy i rzetelny zna przykazania swojej wiary, i stara się ich słuchać. Wie, że mu nie wolno bliźniego nienawidzić, ani przeciw bliźniemu jątrzyć. Unika ile może wpływu Żyda, chce siebie i swoich od niego strzedz, ale godziwymi uczciwymi środkami. Katolik pozorny, z interesu. dla *geschüftu*, dmie w wielką trąbę swojej *chrześcijańskiej* żarliwości, podszczuwa przeciw Żydom, rozżarza nienawiść do Żydów, i... staje się popularnym! Rozbite szyby i sprzęty żydowskie, i przelana krew chrześcijańska, spadają także i w znacznej części na ten antysemityzm, na jego wpływ, i na jego organa.

A teraz co robić? co najpotrzebniejsze i najpilniejsze? Oczywiście wynaleść sprawców, przywódców, i tych ukarać. Ale to marzenie! Sprawy nie głupi. Tam, gdzie tylko było niebezpieczeństwo strzału, a choćby tylko śledztwa, tam ich nie było! Chowają swoje kosztowne osoby i egzystencje na ważniejsze okazy. Kilkuset uwięzionych. to ludzie nieskończenie mniej winni, tak obalamuceni, tak ciemni, że mogli wierzyć najgłupszym baśniom,

jak tej na przykład, że Arcyksiążę Rudolf się znalazł, a Cesarz uradowany, pozwolił być Żydów przez tydzień, Papież zaś dodał do tego jeszcze pięć dni takiej licencji. Jak zawsze, ograniczeni cierpią za przewrotnych. Tych wyszukać, co ich podlegali i prowadzili, co rozrzucałi kartki i odezwę, to zadanie, które w zupełności spełnić się nie da, ale choć w części udać się powinno. Żal nam najszerzej tych chłopów, co się uwieść dali i wpadli w nieszczęście; rozumiemy dobrze wszystkie okoliczności łagodzące w ich sprawie. Ale politowanie nie może zmienić faktu, że kto na dom drugiego napada, kto niszczy jego dobytek, ten jest winny, i w obec przykazań Boskich, i w obec praw ludzkich. O tem ludność wiejska wiedziećby przecież mogła, i powinna — jak nie mniej i o tem, że kto na wezwanie żandarma nie ustępuje, zwłaszcza kto się na niego rzuca, ten się naraża na strzały i na więzienie. Nie usprawiedliwiamy, nie tłumaczymy bynajmniej tych, co na Żydów napadali i robili im krzywdę. Ale domagamy się sprawiedliwości względem Żydów także. Były prowokacye z ich strony, były wyzywania i drażnienia, i te powinny wyjść na wierzch przy dochodzeniu, i ściągnąć słuszną karę. Sprawiedliwość jest potrzebna; ale nie mniej jej szybkość. Chłop uwięziony, trzymany długo, w czasie żniw zwłaszcza, może być bardzo pozbawionym zarobku, albo i podniszczonym w swoim mieniu. Jakkolwiek wypadną wyroki, postępowanie powinno to mieć na względzie, i być szybkim.

Stanowczość rządu, rzeczywistość władzy, ta także, a może najbardziej, potrzebna. Ta przez to, że nie chciała wystąpić zawczasu, musiała teraz uciec się do środka, tak ostatecznego, jak stan obłączenia. Zaprowadził go; nie mógł zrobić inaczej. Jak go wykona? o to teraz chodzi.

Exekucye, choćby najsrozsze, byłyby straszne, ale nie skuteczne. Mechanicznie wstrzymają złe — nie wyleczą nas z niego na prawdę: pod popiołami ogień zostanie, i wybuchnie przy zdarzonej sposobności. Potrzeba czasu, potrzeba zatamowania źródeł, potrzeba ukrócenia wichrzycieli. To nie mniej ważne i konieczne, jak doraźne wyjątkowe środki.

Ale po za natychmiastową akcyą rządu, zostanie cała długa na dalszą metę obrachowana akcyą kraju, społeczeństwa samego. Ta, właśnie dla tego, że jest u nas źle, powinna nie zasypiać, ale podwoić, potroić swoją energię i skuteczność. Nie układamy programów. Ale to w krótkości powiedzieć możemy, że początkiem tej akcyi muszą być ekonomiczne, agrarne stosunki, a jej celem połączenie wszystkich ludzi, uczciwychi dobrych Polaków, wszelkiego powołania czy stanu, w odporze przewrotnych ludzi i przewrotnych dążeń. Lud wiejski, który tak rad pełnoletnim być, a tak się niestety małoletnim okazał, w swojej części poważnej i roztropnej mógłby dziś przekonać się, jakie nieszczęście ściąga na siebie samego, kiedy wierzy swoim pochlebcom, mniemanym przyjaciółom, zwodzicielom.

Dwa były główne powody złego. Bezwładność rządu, usprawiedliwiona poniekąd, ale tylko po części, prawami państwa — i demokracja, pojęta jako nienawiść i zazdrość. Ta rozwinięta i szerzona po r. 1831, po r. 1846 powinna była zniknąć na zawsze, zwyciężona i poprawiona miłością ojczyzny. Ale nie znikła; jest i psuje nas dalej, i coraz głębiej do szpiku kości zepsuć się stara.

W każdym razie te wypadki, to ważna dla nas chwila, może ważna kryzys. Podług zachowania się rządu i społeczeństwa, od tej chwili zależeć będzie, czy ten zły pierwiastek wypłynie

z nas na zewnątrz przez te zajścia. lub też czy dalej będzie się ślimaczyć i jątrzyć w naszym organizmie, aż sprowadzi zupełne zakażenie krwi i śmiertelną niemoc.

Co zaś do samego stanu wyjątkowego, uznając niestety jego konieczność, uważamy go za rzecz smutną. Ograniczenia wolności prawdziwej nie pragniemy nigdy i nigdzie — i dlatego właśnie tak upominaliśmy zawsze o poskramianie anarchii w uczynku, która sprowadziła stan wyjątkowy. W tem widzimy i szkodę, i zwłaszcza upokorzenie, a nad tem bolejemy najbardziej, żeśmy je sobie sprowadzili sami. To wszakże zaspokojenie, tę pewność zupełną mamy, że wolności politycznej kraju, że jego autonomicznych swobód, że jego polityki i jego narodowości, stan wyjątkowy nie dotyka, nie naraża i nie zagraża. Organizowane zbiegowiska i napaści, powtarzające się w wielu okolicach, czyli zorganizowana anarchia, te musiały być poskromione; bezpieczeństwo życia i mienia musiało być przywróconem. Ale stanowisko polityczne i narodowe Kraju, Sejmu i Koła polskiego, nie jest zmienione ani zagrożone, ani *de facto* ani w zamiarze.

II.

Skreśliśmy na początku ogólny rys tego położenia, w jakim znajduje się nasz kraj w chwili wybuchłych przeciw żydom rozruchów, i spowodowanego niemi stanu wyjątkowego. Przechodzimy z kolei do szczegółów; do bliższego rozpatrzenia tych czynników, które w rozruchach występowały, i tych, które przeciw rozruchom wystąpić były powinny zawczasu, na to, by je uprzędzić, a występowały albo za późno, albo nie dość czynnie, albo wcale.

Pierwsze i najważniejsze pytanie byłoby to, czy i w jakiej mierze ten obudzony ruch, jaki się wśród ludu wiejskiego objawia, wychodzi rzeczywiście z jego własnych potrzeb i popędów, lub też jemu z zewnątrz był udzielonym? Czy lud wiejski występuje w tym ruchu samoistnie, sam przez się, czy też jest do niego popchniętym?

Pytanie to nie ściąga się do rozruchów i zaburzeń jasielskich lub sądeckich, ale do dawniejszych i ogólniejszych objawów. Lud wiejski daje to poznać od lat, że chce o sprawach publicznych więcej wiedzieć, i na nie czynnie wpływać, niż dawniej. Czy to robi z własnego popędu, lub też z cudzej namowy i pod cudzym wpływem?

Odpowiedź jest trudna, a zupełnie dokładna być nie może. Lud wiejski, to nie jest jedna istota; to jest zbiór różnych umysłów, usposobień, okolic wreszcie, a każdy umysł i każdy temperament, każda wieś, czy okolica, może inaczej przyjmować i objawiać te same wrażenia, czy wpływy. Przejrzeć na wskrós każdą zosobną głowę, czy wolę, nie podobna. Można przecież z ogólnej znajomości ludzi i rzeczy, z doświadczenia, dochodzić i wnosić, co w rzeczowych dążnościach ludu jest jego własnem, a co przejętem od innych, zaszczeptionem, wypowiedzianem, sztucznie wyhodowanem.

Własnem, przyrodzonem, rzeczywistem, jest przedewszystkiem uczucie swego niedostatku, swojej biedy. Gdziekolwiek i kiedykolwiek zdarzały się zbiorowe poruszenia i zaburzenia wśród mas ludności, na dnie tkwił zawsze niedostatek, jako pierwsza najgłębsza przyczyna. Tak było w Rzymie, kiedy lud wychodził na Górę Świętą, tak było zawsze, i tak zawsze będzie. U nas lud jest biedny i szuka na to rady. Silny i trwały pochor do emigracyi jest tego skutkiem i dowodem. Nie wchodzimy w powody, jak przeludnienie, rozdrobienie gruntów, brak przemysłu i rzemiosł dostarczających utrzymania, i tak dalej. Nie pytamy też, czy przy lepszej uprawie, lepszem gospodarstwie, usilniejszej pracy, wiejski rolnik nie mógłby ze swego kawałka roli lepiej siebie i swoich utrzymać. Stwierdzamy tylko, że większość ludu jest uboga, a ogół jego ponosi ciężary wielkie w podatkach rządowych, krajowych, powiatowych i gminnych. Ta dolegliwość jest powszechna, a jej uczucie jest wrodzone, nieuniknione, konieczne i żywe. Pragnienie jakiejś rady, jakiejś poprawy swego losu, jest więc wspólnem i rzetelnie własnem uczuciem ludności wiejskiej.

Prawdziwem także, rzeczywistem i własnem jest poczucie się w sobie, świadomość siebie jako stanu, i jako uprawnionej, równoważnej z innemi części społecznego organizmu, czynnika w życiu publicznem. Lud wiejski, od lat blisko czterdziestu używający praw politycznych, zrazu przyjmował je obojętnie, jak rzecz bez wartości. Ale przez czas, przez wprawę, nauczył się o nie dbać; i dziś przejęty jest tą myślą, że skoro ma prawa, to powinien mieć i swój wpływ na sprawy, zwłaszcza na te ekonomiczne, które go dotyczą bezpośrednio, a dolegają mu najżywiej.

W tych ogólnych ramach dopiero żądania szczegółowe, własne także i wspólne; nie zawsze jasne, ale zawsze do siebie podobne, natury głównej, a można powiedzieć wyłącznie, ekonomicznej. Ich celem i kresem jest ulga w ciężarach, poprawa materialnego bytu; jednym z takich szczegółów jest połączenie dworów z gminami, żeby część ciężarów gminnych przenieść na dwory. Wszystko to wyrosło rzeczywiście z wiejskiego gruntu, wszystko było własne.

Mniej już rodzime i własne, choć często powtarzane, są inne żądania czy hasła. Powtarzane w dobrej wierze zapewne, polegają na złudzeniu i niedoświadczeniu. Do takich należy, między innemi, to głosowanie powszechne, bezpośrednie i tajne, o którem słyhać tak często na zgromadzeniach. Lud wiejski złudzony jest pozorną logicznością i pozorną słuszością tej zasady, a nie zdaje sobie sprawy z jej rzeczywistej niesłuszości i praktycznej szkodliwości. Mniema, że skoro w głosowaniu powszechnem przewaga jest zawsze przy liczbie, więc on, najliczniejszy, tym środkiem osiągnąłby przewagę w sprawach krajowych stanowczo; jego interes byłby zabezpieczony i zwycięski raz na zawsze. Z tego zaś nie zdaje sobie



sprawy, jak uludnym i obosiecznym jest ten środek, jakie nosi w sobie niebezpieczeństwa dla kraju całego, jakie szkody dla stanu włościańskiego w szczególności. To wszakże, to jest już pojęcie i żądanie przyjęte, wyuczone, jak wiele innych wypisanych w różnych tak zwanych programach stronnictw. — Programy te, spisy niby dążeń i żądań, układają się zawsze tak samo od stworzenia świata. Są pewne dolegliwości rzeczywiste, doznawane przez wszystkich; są obok tego inne albo miejscowe, albo indywidualne; są dalej różne przyczyny tych dolegliwości, które każdy inaczej widzi i rozumie, a każdy sądzi, że jeżeli usunie się, lub stanie się, to, czego on chce, będzie zaraz lepiej. A więc występują różne pomysły, różne dodatki, i kładą się w ów program bezładnie i luźnie. Są między niemi istotnie potrzebne i dobre, są inne zbyt liczne, bo już urzeczywistnione lub przynajmniej podjęte, są jeszcze inne blabe, jeszcze inne niewykonalne albo wprost szkodliwe: ale przyjmują i spisują się wszystkie. Lud wiejski wierzy zarówno we wszystkie, do wszystkich się przywiązuje i zapala, we wszystkich się zarówno zacierzwia. On widzi w tych żądaniach istotnie swój cel; ci, którym on prowadzić się daje, widzą w nich środek, a cel mają w sobie.

Głośny w swoim czasie program stronnictwa ludowego, uchwalony w Rzeszowie w roku 1895, ma zupełnie tę cechę: to pomieszczenie rzeczy potrzebnych, rzeczy niepotrzebnych, i rzeczy blahych. Tem zaś zamieszaniem, i tym sposobem swego powstania, przypomina bardzo na małą skalę, te grawamina i postulata, które niegdyś szlachta stawiała królowi Zygmuntowi pod Lwowem w roku 1537. Ówczesne pospolite ruszenie szlachty, to lud wiejski; ówczesni Kmitowie

i Zborowscy to mniejsi od nich, ale nie lepsi, dzisiejsi demagowie niby demokratyczni. Jak zaś dawna Polska dobrze wyszła na Wojnie Kokońskiej, to wiadomo. — Oby Polska dzisiejsza nie wyszła podobnie źle na podobnych wicherzeniach i podburzaniach.

To wszystko było więc w kraju i trwało dość długo; ale nie miało na sobie znamion, ani w sobie popędów, do materyalnych faktycznych rozruchów i zaburzeń.

Ale te następują zwykle po rozruchu i wzburzeniu w umysłach, jako ich skutek: a powody i sposoby przejścia je nego stanu w drugi są znowu zawsze te same. Dolegliwość trwa, nie zmienia się i nie zmniejsza; tak samo cierpienie i pragnienie. Jedno i drugie przechodzi w stan namiętny, a wtedy traci się jasny sąd, panowanie nad sobą, i trzeźwą świadomość swojej woli, swego dobra i swoich postępów. Wierzy się łatwo każdemu i wszystkiemu co obiecuje jakąś zmianę czy poprawę losu: a przez taką łatwowierność idzie się pod komendę tego człowieka, który tę wiarę i ufność pozyskał, czy podchwycił.

Jest nieśmiertelna prawda w tej komedii starożytnego Aristofanesa, gdzie lud ateński wystawiony jest między swoimi dwoma przyjaciółmi, Kleonem i Masarzem. Jeden i drugi na wyścigi ubiegają się o jego łaski, podchlebiają mu, i obiecują dogadzać, na to by nim i przez niego rządzić. „Ja mam dla ciebie nowe buty“ — woła jeden — „A ja dam ci nowy kaftan“ — odpowiada drugi — „U mnie w koszu dla ciebie pieczeń barania“. — „A u mnie wołowa“. I tak dalej, licytują się jeden nad drugiego, który ludowi da więcej. Lud się raduje i ślinę połyka na te obiecane dobre rzeczy: aż się w końcu pokazuje, że panowie przyjaciele mają na dnie swoich ko-

szów starannie i zręcznie ukryte najlepsze kaski, najslodsze placki, najtłustsze kawałki mięsa — dla siebie.

Wieczna historia wszystkich demagogów i wicherzycieli, i wszystkich ludów, tak łatwowiernych w Atenach, jak w dawnej Polsce, jak w dzisiejszej Galicyi. Tylko w Galicyi ta licytacja łask ludowych nie odbywała się między dwoma jak w owej komedyi, ale między trzema. — Jednym byli ci panowie ze Lwowa, co zawiązali tak zwane stronnictwo ludowe i postavili się na jego czele, drugim socjaliści, a trzecim X. Stojalowski.

Ale cóż oni zyskali? To nieprawda! To potwarz! Oni nie na dnie swoich kosztów nie mieli, i dla siebie nie schowali! Przecież u żadnego z nich nie widać bogactwa, a X. Stojalowski był nawet nieraz w wielkim niedostatku.

Co oni zyskali? Nie pieniądze zapewne, przynajmniej dotąd; ale nie same pieniądze tylko są zyskiem, a oni zyskali to, że z niczego stali się czemś. Żaden niema więcej rozumu, zdolności, nauki, niż tysiące innych; każdy musiałby wieść jakiś nieznany, cichy a pracowity żywot w jakimkolwiek zawodzie, jak tysiące innych, gdyby nie ta rola, w jakiej wystąpił. Ale ogłosił się patronem, obrońcą, trybunem ludu — i został czemś na tym świecie. Pisał po dziennikach, przemawiał na zgromadzeniach, zaręczał że on jeden lud kocha a wszyscy inni krzywdzą go i gnębią. Obiecywał, że on poradzi na wszystkie niedole ludu; lud mu uwierzył, a ten pan, który bez tego siedziałby gdzieś skromnie w jakimś biurze, dziś coś znaczy. Jeden jest posłem, drugi może nim zostać; piszą o nim gazety, ludzie jedni go się boją, drudzy go potrzebują i chcieliby go dla siebie ująć — jest czemś jednym słowem.

Jakiem prawem on został tym obrońcą ludu? Żadnem oczywiście. Nie nigdy dla ludu nie zrobił, i nie zrobiłby nie zdołał. Ale jakim sposobem lud przyjął go za swego obrońcę, uwierzył mu, i pod jego kierunek się poddał? to jasne. Mówił tylko i pisał, a w mowie czy piśmie potwarzał, kłamał, i obiecywał. „Wszyscy lud uciskają, wszyscy stoją mu na zdradzie. Szlachta, obszarnicy, księża, urzędnicy, wszystko to pijawki, co ssą krew ludu i tneją się jego potem. Czemu oni mają więcej ziemi, więcej wygody, lepsze życie jak chłop? Czy oni nie tacy sami ludzie jak chłop? Dla czego nie pracują rękami od rana do nocy? Dla czego noszą cienką bieliznę i suknie? Dla czego jedzą lepsze rzeczy? To oczywista i o pomstę do Boga wołająca krzywda uboższych, a przede wszystkim chłopów“.

Taka była treść, sens, wszystkich pism i mów przez lat kilka. Na ludzi ubogich zaś, na ludzi w niedostatku, takie słowa zawsze wrażenie robić muszą. Tacy ludzie nie pytają, czy większy dostatek drugich jest naprawdę ich krzywdą, albo nie; nie pytają, czy równość majątkowa jest możliwą. Oni widzą tylko, że drudzy żyją lepiej od nich, choć są ludźmi takimi jak oni — a równość ludzi przed Bogiem i przed prawem, w ich rozumieniu, powinna mieć za swój skutek praktyczny — równość używania. Nie zaś na świecie nie pomaga tak do wziętości i ufałości u ubogich, jak wyrzekanie na bogatszych i ich oskarżanie. — Tego też wypróbowanego środka chwycili się nasi *Przyjaciele ludu*, i powtarzali bez ustanku, że gdyby nie obszarnicy i wszyscy inni ciemiężyciele, byłoby inaczej; a gdyby oni, przyjaciele ludu, mieli władzę, dopiero byłoby dobrze!

Czy zdolaliby, czy mogliby dotrzymać tego, co obiecują? Nigdy na świecie. Przypuściwszy nawet, że mieliby większość w sejmach i parlamentach, nie uchwaliby nic, bo wtedy zaczęliby dopiero wadzić się i żreć pomiędzy sobą. Gdyby zaś nawet coś uchwalili, to te ich uchwały wydalyby dopiero stan ucisku i niedostatku, stokroć gorszy od tego, który jest. I oni wiedzą doskonale, że nie mogliby nigdy zdziałać tego, co mówią, to im jednak nie nie szkodzi. „Nie zrobili nic? To nie ich wina! Byliby zrobili niezawodnie, gdyby nie obszarnicy i inni łotrzy! To tych wina. To wina obszarników, wsteczników, stańczyków!“ i tak dalej. Sposób postępowania zaś jest zawsze ten sam. Niedostatek ludu, jest skutkiem tysiąca przyczyn i okoliczności, ekonomicznych i politycznych, ciężących nad całą Europą, jeżeli nie nad całym światem. Żaden kraj, żaden naród, żaden rząd nie może tego stanu zmienić; to nie jest w jego mocy. Ci panowie wiedzą to doskonale. Ale tego nie mówią i nie piszą nigdy. Owszem, powtarzają ludowi i wbijają mu w głowę zawsze to jedno, że powodem jego niedostatku, jest większy dostatek obszarników. To jest ten fałsz zasadniczy, a zupełnie świadomy, którym oni wojują, którym szerzą i krzewią zawiść uboższych do bogatszych, żeby na tej zawiści oprzeć swoje panowanie nad uboższymi. Jeżeli zaś zdarzy się, że u nas w kraju ten lub ów szlachcic zrobił coś złego, to nie powiedzą nigdy, że to ten jeden ktoś, ale zwalają winę na wszystkich. „To szlachta tak robi! To ona źle chce, źle myśli, źle działa! Ona winna wszystkiemu i wszędzie!“.

Sypią też oskarżenia i obietnice jak z rogu obfitości. „Jeżeli ja zostanę posłem, to zobaczycie, jak zaraz będzie lepiej!“ A lud wiejski wie-

rzy. Wszak faktem jest, że koło Krakowa włościanie, wezwani do płacenia podatków, odpowiadali z dobrodusznym zdziwieniem, że „podatków przecie już niema, bo Daszyński został posłem do Rady państwa“. Wszak faktem jest, że grunta dworskie rozdzielali między siebie, w myśli, „bo Daszyński został posłem!“. Ten weźmie ten kawałek, a tamten inny. Skrzywdzeni w tym dziale, przychodzili do dworu po opiekę, i prosili, żeby ich pan bronił, bo gromada chce im dać za mało z dworskich gruntów!

Tym sposobem panowie „Przyjaciele ludu“ powychodzili na posłów i na znaczące figury. Zabawnem czasem było widzieć ich, jak z Wiednia jechali w wagonie pierwszej klasy, ale w Trzebini przesiadali się do klasy trzeciej, żeby lud, czekający ich z owacją na tej lub owej stacji, widział, jacy oni prawi, niepodejrzani demokraci! Zabawnie było ich słuchać, jak w swoich przedwyborczych czy powyborezych mowach wołali i błagali: „Tylko ty, ludu ukochany, ty mnie nie opuszczaj!“. Naturalnie! Prośba była szczerą; bo gdyby lud tego pana opuścił, ten pan wróciłby zaraz do swojej nicości. O tyle jest, o tyle dzieje mu się nieźle, o ile na barkach ludu dostał się na jakieś miejsce. Ale co ludowi z tego przyjdzie, co ludowi przyjdzie z tego pana? to inne pytanie — i pytanie, o które ten pan troszczy się najmniej.

Odmienny nieco, a o wiele smutniejszy charakter ma rola i historia księdza Stojalowskiego. Smutniejszy dlatego, że on kapłan, i że musiał mieć w sobie niemałe istotnie zasoby zdolności. Jakim mógłby być człowiekiem pożytecznym dla ludu wiejskiego i dla kraju całego, gdyby był chciał być człowiekiem prawym. Nie bierzemy tu w rachubę jego kłątwy. Papież nie może kłątwy

rzucić bez powodu: ale może ją zdjąć w nadziei skruchy i poprawy. Czy ją rzuca, czy zuosi, my mamy tylko go słuchać. Ale przed klątwą widzieliśmy człowieka, uniesionego pychą i zemstą za kary kościelne, które na siebie ściągnął, księdza, zbuntowanego przeciw władzy kościelnej i odprawiającego bezprawnie, po świętokradzku ofiarę Mszy św.; po zniesieniu klątwy nie widzimy oznak skruchy i poprawy, tylko tę samą zawsze nienawiść i mściwość. A zawsze, przed klątwą, jak po niej, zręczność i przebiegłość wielką w wykrętach i w kłamstwach, obłudność w obronie własnej, bezcelność w potwarzy i oskarżeniu na drugich.

W ludziach ubogich i ciemnych ksiądz Stojalowski wzbudzał wiarę i ufność — posuniętą do fanatyzmu. Z krwawo zapracowanego grosza składali się na niego włościanie, wyrobnicy, posługacze kolejowi. Chodzili za nim tłumnie. Mówili, że „jak Pan Jezus cierpiał za ludzi, i jak On z grobu, tak Stojalowski zmartwychwstał z pod klątwy“. Zaślepienie takie nie powinno dziwić, bo wiadomo przecież, że fanatyzm i namiętność nie rozumuje. Przecież dziwić musi i boleć to zaślepienie, które ludowi katolickiemu i pobożnemu pozwala słuchać Mszy, odprawianej przez księdza, który był zawieszony w tem prawie. To była straszna oznaka nieznamości wiary i jej przepisów, zamącenia sumień, i wreszcie rozprężenia nawet kościelnej jedności i uległości.

A co ci patronowie i obrońcy ludu, wszysej, jak są, dla ludu zrobili? Na prawdę nic. Mówili i pisali o jego krzywdach, lżyli wszystkie władze duchowne i świeckie, kłamali na ludzi i na stronnictwa, ksiądz Stojalowski ładował kufry skargami, które mu włościanie znosili lub nadsyłali. Ale prócz tego co? Czy jeden początek, jeden zawią-

zek, jakiejs ulgi, pomocy, jakiegoś środka zaradczego na niedolę? Z tych osławionych i znienawidzonych obszarników nie jeden, wielu, może wykazywać się ezemś, choć małym, co dla ludu swoich okolic zrobili. Ten dopomógł do sklepiu, tamten zawiązał Kółko rolnicze, inny dopomógł w potrzebie jaką taką zapomogą, jeszcze inny dał początek jakiej kasie pożyczkowej, albo wniósł coś pożytecznego w Sejmie, a przynajmniej za tem głosował. Z ich roboty coś przecie było i zostało. Panowie „przyjaciele ludu“ nietylko nie zrobili, ale wszelkiej rzeczywistej roboty w powiatach przeszkadzali i przeszkadzają systematycznie, i na nieszczęście skutecznie. Nietylko przez to, że polityką odrywają myśl, uwagę i czynność ludzi od korzystnego zarobku, ale przez to także, że od takiego wprost odradzają i odwodzą. Mamy przykład świeży, a wymowny. W powiecie kolbuszowskim miało się odbyć premiowanie najlepszych sztuk włościańskiego bydła. Zachęta i pieniężny zasilek do lepszego chowu, zatem lepszego gospodarstwa. — Ale tego bydła przyprowadzono tak mało, że właściwie nie było co nagradzać, ani komu dawać przeznaczonych na ten cel pieniędzy. Jedni włościanie nie przyprowadzili bydła, bo to pańska robota i zdrada, a drudzy, bo się bali narazić opinii swoich sąsiadów. Jakkolwiekby, i pomimo takich przeszkód, z tego, co robili obszarnicy, był przecie jakiś dla włościan pożytek. Z tego, co robili wszysej Daszyńscy, Stapińscy, Stojalowscy i inni, nie było nic, prócz marnego krzyku, i nic innego niema, i nic innego nigdy być nie może.

Owszem: było i jest, i zostało coś — nieszczęście. Zostało rozjątrzenie między ludnością tego kraju, zakwas nieufności i nienawiści: i zostały

w kilku powiatach zaburzenia, zakończone śmiercią kilkunastu włościan, zniszczeniem kilkudziesięciu domów żydowskich, i stanem obłączenia w kilku powiatach, stanem wyjątkowym w położeniu kraju.

Kto tę rozgorączkowaną namiętność zwrócił na żydów? Rzecz niedocieczona. Nie socjaliści zapewne, bo oni przecież z żydami trzymają, a w wielkiej mierze przez żydów są prowadzeni. Nieprzyjacielem żydów, tak zwani antysemita ci znowu i takiego tryumfu dla siebie nie mogli pragnąć, i nie są dość liczni, dość silni, dość sami uorganizowani, żeby takie przedsięwzięcie podjąć i wykonać. Rzecz zresztą obojętna, kto przyczynił się bezpośrednio i ostatni, skoro rzecz jest jasna, że składali się na taki skutek, choć go nawet nie chcieli, pracowali na niego, wszyscy jątrem; a rzecz dotąd niedowiedziona niestety, ale więcej niż prawdopodobna, że wypadkami kierowała jakaś ręka, której celem jest zburzyć dzisiejszy polski stan rzeczy w Galicyi. Czy to ręka radykalistów i rewolucjonistów polskich, z europejskimi złączonych, czy ręka jakich potęg obcych, czy obie razem, to może czas kiedyś wykryje. Żydowskie zaś ukryte lichwy, i inne wyzyski pomagały do tego jątrem, i sprawiły że wezbrane namiętności zwróciły się na żydów.

Fakt jest smutny, a znak jeszcze smutniejszy. Lud wiejski przecież uczy się katechizmu i chodzi do spowiedzi: jakim sposobem nie wie tego, że żyd jest człowiekiem, że nie godzi się robić mu krzywdy i gwałtu, że nie godzi się niszczyć jego mienia? Napaści i rabunki pokazują, że nie tylko umysły były otumanione, ale że sumienia były przytępione i zagłuszone. Był zaś w tej namiętności upór, a w tej robocie był ład i komenda. Upór i zaciętość, skoro ludność nie otrzeź-

wiała po rozruchach, ale powtarza w niejednym miejscu, że zachowa się spokojnie, jak cługo wojsko stoi, ale skoro wojsko odejdzie, ona znowu żyda wypędzać będzie. — Ład i komenda były także: to wskazują strzały dane do wojska w Sierkierczynie. — Niektórzy upatrują jakąś pociechę w tem, że gdziekolwiek zdarzyły się zaburzenia, tam ludzie miejscowi ich nie wszczynali, a nawet się do nich zwykle nie mieszały, tylko jacyś obcy, przychodni. Tacy napastnicy wędrujący, przychodni, obcy, to właśnie oznaka planu, organizacji, komendy: zatem głębiej zakorzenionego i szerszej rozpostartego złego. I to pociecha niedobra, niewielka, że ludzie starsi, ojcowie rodzin, nie należeli do zaburzenia wcale, tylko same zawsze młokosy. Szczęście zapewne, że starsi tego nie robili: ale to źle, że ci starsi a nieuczenni, lepsi i mądrzejsi od tych młodych, którzy wychodzą ze szkół. Nie na to są szkoły, nie na to się oświatę pielęgnuje i szerzy, żeby czytanie miało głowy i sumienia przewracać.

Otuchę i pociechę daje nam na prawdę co innego: w miastach zawiązujące się coraz liczniej i rozwijające się związki „Przyjaźni“, jako świadome swoich uczciwych celów, i działające uczciwymi środkami; po wsiach objawiające się wśród wiejskiego ludu samego, uczucia żalu i upokorzenia za stan włościański i za cały kraj; zrozumienie, że źle się stało i że się stało nie bez własnej winy. W różnych wielkich i małych dziennikach czytamy różne tych wypadków wymówki. X. Stojałowski pisze, że to figle, wybryki prawie dziecinne. Antysemita zwalają wszystko na żydów. Dzienniki liberalne na szlachtę. Nikt z nich nie chce powiedzieć, ile winien lud wiejski, bo wszyscy chcą mu pochwlebiać. Tę odwagę miał i ten dobry przykład dał *Związek chłopski*, zosta-

jący naprawdę pod kierunkiem włościan. Ten, w chwili ostatnich wyborów do Rady państwa, zachwiał się w swojej równowadze, lub może uląkł się o swoją wziętość, i wtórował różnym złym pismom. Ale teraz przemawia roztropnie i uczciwie do wszystkich, do chłopów, jak do szlachty, jak do rządu. Uspokaja niejatrzy. Złe skutki gwałtów wskazuje jasno, w wypadkach widzi jakąś ukrytą a podejrzaną rękę i wolę, o poprawę losu każe się starać gorliwie, ale spokojnie i uczciwie, a szkodę i wstyd, jakie spadły na kraj cały, na lud wiejski w szczególności, czuje szczerze i żywo.

Skoro lud wiejski chce do życia krajowego należeć i na nie wpływać, to musi przyjąć odpowiedzialność za to, co robi. Budzące się uczucie tej odpowiedzialności witamy, jako rzecz dobrą, jako potrzebny nabytek, jako postęp; nie taki, o jakim mówią frazesowicze i karyerowicze, ale prawdziwy. *Związek chłopski* pisze, że ktoś lud tumaniał i pchnął go do złego, ale że jest coś, co temu komuś ułatwiło jego niecną robotę. Na tej drodze może dojdziemy nareszcie do porozumienia i wspólnego działania. Niech się lud strzeże od ktosia, a wtedy będziemy mogli razem o to się starać, nad tem pracować, żeby coś zmienić i poprawić.

Na to potrzebnyby był przede wszystkim powrót do tego trzeźwego i jasnego widzenia rzeczy, do tego rozumu własnego, który lud wiejski od lat kilku pozwolił sobie odbierać, a zastępować innym i gorszym. Potrzeba także więcej sprawiedliwości, a mniej podejrzliwości. Sprawiedliwość polegałaby na tem, żeby obszarników, czy panów, czy jak ich nazywają, sądzić i mierzyć podług tego, jakim który z nich jest, co robi, jak żyje. Czy jego życie daje włościanom

powód do niefuności i niechęci, lub też przeciwnie może, do szacunku, zaufania i wiary. Podejrzliwość zaś, odwieczna i nieszczęsna polska choroba, ta, która udaremniła niegdyś potęgę Rzeczypospolitej w lepszych czasach, a jej ratunek w gorszych — tak odwraca dziś lud wiejski od dobrych obywateli, a poddaje go pod kierunek Daszyńskich i Stapińskich, jak niegdyś podejrzliwość szlachecka posądzała Batorego i Władysława IV, Jana Kazimierza i Sobieskiego, a dawała się wodzić na pasku Zborowskiemu, Krzysztofowi Opalińskiemu i wielu innym.

Oby lepszy, dojrzały sąd o sobie samych, o szlachcie, o stanie kraju w ogólności, oby zjawiające się uczucie odpowiedzialności i obowiązku, stały się tak własnem i rzeczywistem i świadomem usposobieniem wiejskiego ludu, jak jest uczucie swojej niedoli, pragnienie poprawy, i pragnienie udziału w sprawach i losach kraju.

III.

Dawna Polska nie stała się całkowitym, wyrobionym organizmem społecznym: to było jej nie-szczęściem, i powodem, głównym zapewne, jej upadku. Polska XIX wieku, porozbiorowa, nie mogła się na taki organizm wykształcić, bo była podległą, nie miała swojej woli, nie rządziła sobą. To znowu i jej także nie-szczęście; ale zarazem, i właśnie dlatego, że nie-szczęście, jej pierwszy obowiązek względem swojej sprawy. Nie może się ona, w swoich obecnych stosunkach, na całkowity organizm społeczny wykształcić, ale powinna całemi siłami dążyć do tego, żeby się takim stać, na taki stopniowo wykształcać.

W Galicyi, jedynej części Polski, gdzie to dążenie może być czynnem, obowiązek dążenia jest oczywiście największy. Spełniany był, przez trzydzieści lat czasu, bardzo niedostatecznie, jak pokazują ostatnie rozruchy. Dlaczego niedostatecznie? Jakie były po temu przeszkody? Było ich wiele. Jedne wynikały ze stosunków i okoliczności od nas niezależnych; inne wynikały z naszego zaniedbania, albo z naszego błędnego postępowania i były naszą winą.

Rzecz jest oczywista że znajdujemy się w stanie przejścia; w stanie ekonomicznego i spo-

cznego przeobrażenia. Czy nowa formacja, jaka z tego przeobrażenia wyjdzie, będzie zdrową, silną, i polską? To jest pytanie główne, od tego zależy przyszłość. To powinniśmy byli zawsze mieć na oku, przedewszystkiem.

Spółczeństwo nie jest organizmem prostym, jak ta pierwotna komórka, z której powstaje ciało fizyczne. Ono jest ciałem bardzo rozwiniętem i bardzo zawilem. Składa się z rozlicznych części, a zdrowie, siła, i samo życie całości polega na normalnem złożeniu i spojeniu, na zgodnem i normalnem działaniu tych różnych części, z których każda ma swoje przeznaczenie, swoje osobne zadanie w normalnem i pomyślnem zdrowiu całości.

W Galicyi, w Polsce całej, główny prąd życia i siły nie jest i zapewne nie będzie nigdy w miastach, ale na wsi. Z tego wynika, że zgodność i regularne harmonijne życie ziemian, włościanina i szlachcica, jest niemal głównym podstawnym warunkiem naszej narodowej siły i naszej równowagi społecznej. Rozumiały to dobrze państwa rozbiorowe, Austria niegdyś, Rosya do dziś dnia, kiedy tę zgodność burzyły, a nienawość i zawiść hodowały. Rozumieli to dobrze wszyscy polscy słudzy powszechnej rewolucyi, kiedy od roku 1831 pracowali, i do dziś dnia energicznie pracują, nad rozpalaniem nienawiści szlachty w ludzie wiejskim, nad rozdmuchaniem jej tam, gdzie przygasa. Zgodność zaś i harmonia była w Polsce, dla ogólnej sprawy narodu o tyle potrzebniejsza, że w szlachcie żyła najsilniej tradycya ojczyzny niepodległej. Ona zatem najlepiej mogła łączyć dawną Rzeczpospolitą, z tą formacją nową, która się ma z naszych pierwiastków wyrobić.

Dlatego niezmiernie ważnym warunkiem naszego życia polskiego była dawna forma tego życia:

wielka ilość szlacheckich średnich majątków i dworów na całej przestrzeni naszej ziemi. Właściciel średni, który sam trudni się wszystkimi szczegółami swego gospodarstwa, nie może się z domu ruszać, żyje w nieustannem zetknięciu z ludnością wiejską, a majątkiem i rodzajem zajęcia jest do niej bardziej zbliżony, niż człowiek bogaty.

Ta siła ogromna w naszym narodowym życiu, ta wielka cyfra w bilansie naszych polskich środków działania, maleje niestety; prawie powiedzieć można z niewymowną boleścią, że topnieje w naszych oczach jak śnieg. Lat temu mniej więcej czterdzieści, przewidywał to ze strachem Adam Potocki. Mówił on, że gospodarstwo najemne bez kapitału obejść się nie może, a gdy średnia własność kapitału niema prawie nigdy, więc prędzej czy później dojdziemy do tego, że utrzymają się a może powiększą wielkie fortuny pańskie, że utrzymają się i może rozwiną małe gospodarstwa włościańskie, ale średnia własność szlachecka będzie malała i znikła. Nie zrozumiał wtedy Potockiego Szujski, dorastający zaledwo młodzienaczek; to, co było trwogą o przyszłość, wziął za chętną zgodę na taką przyszłość, i w jednym ze swoich ówczesnych pism natarł ostro i namiętnie na takie pojęcie przyszłości.

Przepowiednia się sprawdziła. Okolice, które niedawno roily się od wiejskich sąsiadów, dziś wyludnione: dwory stoją pustkami. Szczęście jeszcze, jeżeli grunta małemi częściami rozsprzedane między włościan. Rozumiemy doskonale, że zadaniem głównem i potrzebą nie jest rozdrabnianie gruntów i rozsprzedawanie ich parcelami, ale utrzymanie właśnie dworów i średniej własności ziemskiej. Tam tylko, gdzie to zrobić się nie da, ma prawo wystąpić parcelacya: i to nie jako środek spekulacyjny, tylko jako środek ochronny,

jako sposób zachowania ziemi w rękach polskich, a ratowania jej od rąk obcych i złych. W takich warunkach sprzedaż parcelacyjna jest mniejszym złem, może nawet nie być złem żadnem. Ale gdzie obszar cały przeszedł w ręce ani polskie, ani nawet chrześcijańskie, to gorzej, a takich przypadków właśnie jest tak wiele, że w niejednym powiecie, mówić możemy, „ziemia nam się z pod nóg usuwa“.

Nie można zaś nikogo oskarżać, nikogo winić. To się nie stało ani przez próżniactwo, ani przez marnotrawstwo, tylko naturalnym, skutkiem ekonomicznych stosunków. Oczywiście niektórzy sami byli winni swemu nieszczęściu, ale takich jest stosunkowo nie wielu.

W tej zaś rzeczy najważniejszej, którą jest wzajemny stosunek większej i mniejszej własności, szlachcica i chłopu, ubytek średnich majątków i dworów jest szkoda niepowetowaną pod względem i społecznym, i moralnym, i polskim. Właściciel wielkiego majątku, żeby najszczerzej chciał i najlepiej umiał, nie zdoła, nie może tego ubytku zastąpić. On, nawet kiedy stale na wsi mieszka, nie może znać osobiście mieszkańców kilku lub kilkunastu wsi: on rzadko ma sposobność spotkać się z nimi i mówić. Zetknięcie naturalne, to, którego się nie szuka, ale które się robi samo, zatem lepsza znajomość wzajemna, są prawie niepodobne. Gdzie wielkie fortuny rosną przez wykupywanie ziemi, tam musi się na mniejszą skalę powtarzać to, co niegdyś było na Rusi w niezmierzonych posiadłościach Koniecpolskich, Wiśniowieckich, Lubomirskich, Potockich, że pan ziemi znał ją ogólnie tylko, zdaleka, a sam się nią zajmować nie mógł, i w żywym stosunku z nią nie był. Ludność wiejska nie jest dziś w wielkim majątku wystawiona na samowolę

i ucisk rządów, czy podstarościch, ale jest pozbawiona wszelkiego bliższego wpływu polskiego i cywilizacyjnego, a przez to tem łatwiej dostaje się pod wpływy złe, polskie i cywilizacyjne z pozoru tylko i z nazwiska, a na prawdę podkopujące i Polskę i cywilizację.

Tak jest tam, gdzie jest lepiej. Cóż dopiero tam, gdzie jest gorzej. Gdzie wielki majątek znajduje się w dzierżawach żydowskich. Ale z tym faktem wychodzimy już z zakresu tych złych stosunków, którym nie jesteśmy winni, a wkraczamy w zakres win istotnych i grubych. Że dzierżawca żyd może dać właścicielowi dochód większy, niż inny dzierżawca, lub niż własny zarząd, to prawda i to jasne. Ale to wyrachowanie jest błędne. Taki dzierżawca da większy dochód, ale z końcem swojej dzierżawy odda właścicielowi ziemię wyjałowioną, budynki zaniedbane i podniszczone, a właściciel będzie musiał długo obchodzić się małym dochodem, a nakłady robić znaczne, zanim swój majątek przywróci do porządku. Zatem nawet pieniężnie, rachunkowo, dzierżawy żydowskie są niekorzystne na cokolwiek dłuższą metę. A ich skutki inne? a ich wpływ moralny, patriotyczny i cywilizacyjny, na ludność otaczających wsi? Tutaj niema co wiele mówić, rzecz jest zbyt jasna. Człowiek bogaty, choćby nie bardzo bogaty nawet, może obejść się dochodem trochę mniejszym, odmówić sobie tej lub owej przyjemności, a choćby korzyści; na życie wygodne i przyjemne zawsze mu wystarczy. Ma zaś obowiązek, i jako katolik, i jako Polak, zrobić ofiarę, obchodzić się mniejszym dochodem, a ziemi w ręce żyda nie puszczać, ludności wiejskiej na jego wpływ nie narażać. Nie każdy dochód, choć dozwolony prawem, jest dobry, dozwolony sumieniem i obowiązkiem. Taki, który wspomaga swoją kieszeń,

ale naraża na szkodę religijną, moralną i polski interes okolic, taki dochód nie jest dobry. To jest ciężka wina: spodziewamy się, że nie jest częsta. Jak *noblesse oblige* tak i wielki majątek obowiązuje: i źle jest pod wszystkimi względami, kiedy dobry szlachcic i człowiek bogaty o tem zapomina.

Gorzej jest jeszcze, kiedy dobry szlachcic i człowiek bogaty jest albo próżniakiem, albo zbyt kownikiem, albo karciarzem, albo marnotrawcą. Zły tak zwany arystokrata, rodzi złego demokratę. Ten zły demokratę ze swoją złą demokracją nie jest przez to mniej złym; ale nie byłby tak silnym, tak skutecznym w swoim działaniu, gdyby mu nie pomagał zły arystokrata ze swoją złą arystokracją. Luter z pewnością był zły, ale jego zła reformacja nie byłaby mu się tak udała, gdyby nie było wiele złego w ówczesnym kościele. A cóż dopiero mówić o takich wypadkach, parę jest niestety zupełnie stwierdzonych, gdzie szlachcic przy sprzedaży gruntów poprostu chłopów oszukał! Sprzedał parcele, nie wniósł tej sprzedaży do tabuli, a potem sprzedał cały swój majątek innemu nabywcy, z temi parcelami włącznie. Chłopi cenę parcel zapłacili, a kupione grunta stracili. A jakie to ma skutki! Oszustwa zdarzają się w każdym kraju i stanie. Ale jedna taka krzywda staje się skargą i dowodem przeciw całemu stanowi, przeciw wszystkim! *Przyjaciele Ludu* nie omieszkają korzystać z tak dobrej sposobności, generalizują, wskazują, że to szlachta tak robi: a skrzywdzony chłop, i wszyscy inni chłopi, nie rozróżniają, i wierzą, i nienawidzić rośnie! To jest poprostu wołające o pomstę do Boga; i ze względu na krzywdę ludzką, i ze względu na naszą biedną sprawę publiczną.

Jakie zresztą grzechy, uczynkowe czy opuszczenia, mogą mieć indywidua, nie możemy wiedzieć ani liczyć, i nie myślimy w to wchodzić. Ale są takie, które spadają na kraj cały, na jego reprezentację. Ustawa o nieograniczonej podzielności gruntów włościańskich była wielkim błędem: nie była winą, bo popełnił ją pod wpływem mylnej doktryny ekonomicznej, w przekonaniu, że robimy dobrze, że taka ustawa podniesie dobry byt stanu włościańskiego. — Trudniej uniewinnić się z zaniedbań i opuszczeń. Wszyscy ilu nas jest wiemy, a przynajmniej powinniśmy wiedzieć, że wielkim interesem naszej sprawy jest społeczna zgoda i społeczny ład. Jedno i drugie, jeżeli ma być rzeczywistym, musi być osadzone na mocnym fundamencie, na samym gruncie. Tym fundamentem musi być wieś: porządek i wykonywanie ustaw we wsi musi być podstawą ładu; połączenie interesów gromad i dworów w małym terytorjalnym obrębie musi być podstawą zbliżenia i zgody. Z tego stanowiska wychodzili, do tego celu dążyli, ci co od lat z górą trzydziestu wołali o dobrą ustawę gminną. Gdyby ta najmniejsza jednostka administracyjna, gmina, była administrowaną na prawdę, nie byłoby tak chodzili po gminach ci obcy, te przybłędy, co w miesiącu czerwcem podzegli i urządzali rozruchy. Gdyby w jednej radzie gminnej spotykały się często starszyzny gmin, i osoby z dworów, może propaganda wicherzycieli nie byłaby szła tak gładko; może byłaby znalazła jaki opór we wsiach samych, dobrowolny, z własnego popędu i własnego przekonania. Sposobności nam nie brakło. Trzeba było, i można było, stworzyć rzeczywistą administrację, rzeczywistą władzę w gminie: trzeba było, i było można, ułatwić i ustalić zbliżenie między dwoma częściami składowymi ludności wiejskiej.

Wnioski do tego zmierzające odrzucił Sejm w roku 1875: odrzucił po raz drugi w roku 1881. — Wiemy, że w stosunkach wschodniej połowy kraju miał powody uniewinniające: wszelako dziś, po rozruchach, może przecie żałujemy, żeśmy nie przewidzieli i nie odwrócili zawczasu tego, co z administracyjnego nieładu i społecznego rozgraniczenia wyjść koniecznie musiało. Ale niestety „żałować po niewczasie jest to samo właśnie — co patrzeć na kompasie kiedy słońce zgaśnie“. Sposobność trzeba chwytac w lot, kiedy się nadarza: bo inaczej ona uleci i nie wróci. Dziś, przy takim rozdrażnieniu ludu wiejskiego, przy takim jego powszechnem i namięttem pojęciu gminy jako połączenia jednego dworu tylko z jedną gromadą, o reformie ustawy gminnej myśleć tu teraz nie można. Ona może się zrobić tylko za dobrowolną zgodą obu stron: zrobiona jednostronnie, wbrew woli i pojęciu ludu wiejskiego, gdyby nawet uchwaloną być mogła, wywołałaby w obecnych okolicznościach tylko nowe wzburzenie, a może nowe zaburzenia. Jest już za późno a jeszcze za wcześnie.

Dalszym powodem złego jakie się stało, i niezawodnie jednym z najgłębszych, najważniejszych a najpowszechniejszych jest to, że my nie mamy stałych przekonań i zasad, a jeżeli je mamy w teorii i w słowach, to się ich nie trzymamy w praktyce, w uczynkach. Dla tego niema u nas stronnictwa, któreby i samo w równowadze było, i równowagę polityczną jak społeczną utrzymywać mogło. Jeżeli jest grono takich ludzi, to tak nieliczne, tak słabe, że ani stronnictwem być, ani wpływu wywierać, ani skutecznie działać nie może. My wszyscy, z bardzo małymi wyjątkami, siedzimy na dwóch stołkach. Prosta rzecz, że stolki się rozsuwają, a my pomiędzy nie wpada-

my. Nie może być inaczej; nigdy nie było na świecie, i nigdy nie może być inaczej. Od największych panów, do najuboższych włościan czy rzemieślników, mamy w sobie tę chorobę wszyscy; z tą różnicą, że u tych ostatnich ona jest naturalnie daleko łatwiejsza do zrozumienia, i do wybaczenia. W religijnych w politycznych, w społecznych, przekonaniach i stosunkach, sprzeczność między tem co się mówi, co się nieraz szczerze myśli, a tem co się robi: czyli siedzenie na dwóch stołkach.

Przypatrzmy się temu nieco bliżej.

Jesteśmy naprzykład katolikami, i mamy się za takich na prawdę. Ale katolik bogatszy często nie zachowuje kościelnych przepisów, waży je sobie lekko, daje przez to zły przykład; a przytem nie ma czy dość rozeznania i logiki, czy dość odwagi na to, żeby odpychać i hamować ile może, wpływy i dążności nie - katolickie. Trzyma naprzykład bez skrupułu, rozszerza, popiera, pisma których każdy artykuł, każdy wiersz, podszyty jest nie - katolickiem pojęciem i dążeniem. Katolik uboższy, chłop, jest bardzo szczerym i bardzo pobożnym katolikiem: ale tak w swoich pojęciach nie wyrobiony, w swoim postępowaniu nie rozważny i ze swoim przekonaniem niezgodny, że bez skrupułu czyta pisma zakazane przez biskupów, słucha mszy odprawianej przez księdza suspendowanego, ba, chodzi za księdzem wyklętym jak za świętym. Jeden i drugi taki katolik nie wie dobrze sam co myśli, a postępuje inaczej jak myśli; sprzeciwia się w uczynku temu, co w umyśle ma za swoje przekonanie.

A dopieroż w rzeczach świeckich, politycznych i społecznych! Tam sprzeczności jeszcze liczniejsze i jeszcze bardziej rażące. Spytać, lub słuchać jednego, drugiego, dziesiątego i tysięcznego, to

budować się można, jakie ma przekonania i zasady zdrowe i pewne. Wie, że niema społeczeństwa bez ładu i bez władzy; wie, że władze ukryte, nieodpowiedzialne, spiskowe, są niebezpieczne dla ojczyzn równie, jak dla społeczeństw. Nie cierpi i boi się rewolucyi: swój klejnot szlachecki, albo swój hrabski tytuł nosi bardzo wysoko i nawet lubi go czasem ludziom przypominać. Na oko drugi Józef de Maistre; tylko trochę mniej rozumu i dobrego smaku. Ale robi tak, jak żeby wierzył święcie we wszystkie paradoksy Jana Jakóba Rousseau. Boi się nie być liberalnym, albo takim się nie wydać; umizga się do wszystkich opinij, abonuje, nieraz subwenyonuje ich pisma — czasem robi to dla popularności, czasem z prostego strachu — i własną ręką podkopuje to, co uznaje za zasadę i podstawę wszelkiego społeczeństwa i wszelkiej przyszłości. Konserwatysta zacięty: gdyby się dobierano do jego kieszoni, krzyczałby, jak żeby go ze skóry darto. Ale dopóki tego nie widzi, dopóki się dobierają tylko do Kościoła, do wszelkiej władzy, do społecznego porządku, do przyszłości ojczyzny, kiedy zakładają podkopy i miny pod wszystko, co on ma za dobre i święte, on nie przeszkadza, nie broni, tylko pozwala, owszem pomaga, i daje się ciągnąć tam gdzie nie chce, bo — siedzi na dwóch stołkach.

Na dwóch stołkach także siedzi chłop, kiedy w zwyczajnych czasach nie czuje nienawiści, nie wierzy, iżby panowie byli powodem wszystkiego złego, owszem wpływa na swoich w sposób rozważny i uśmierzający. Ale w chwili gorętszej, przy wyborach naprzykład, przestraszony o swoją wziętość i powagę, dmie jak drudzy w te same trąby nienawiści, i powtarza, jak za panią matką

pacierz, fałsze i potwarze za tymi, których w swoim sercu ma za złych i niebezpiecznych.

Na dwóch stołkach także siedzą miasta: te naprzykład, co salę obrad swojej Rady otwierają na zebrania socyalistów. Byłyby bardzo nieszczerliwe, gdyby socjaliści kiedykolwiek wzięli górę; ale oprzeć im się, pokazać im wyraźnie, że ich mają za szkodliwych, na tę odwagę zdobyć się im trudno. Wolą więc cierpliwie i biernie patrzeć, jak tamci swoje zwycięztwo pomalu przygotowują.

Na dwóch stołkach dopiero siedzą ci antysemita, ci chrześcijańsko-socyalni, co o swoim katolicyzmie głośno prawią: a jeszcze głośniejszerzą nienawiści społeczne, z przyprawą kłamstw i potwarzy. Ci siedzą może czasem w swoim mniemaniu na stołku katolickim, ale naprawdę daleko bardziej na socyalistycznym. Socyalizm jest radykalnem i kardynalnem przeciwieństwem katolicyzmu: ale to im nie szkodzi, bo na tych dwóch stołkach siedzieć jest wygodnie — a czasem nawet korzystnie.

Choroba jest tak zaraźliwa, że udzieliła się nawet socyalistom; choć ci, trzeba im oddać tę sprawiedliwość, bywają zwykle stanowczy w swoich pojęciach. Ale trzeba się czasem stósować i nagiąć do przesądów ogółu, żeby wpływ nad nim zdobyć. A więc socyalista polski zaręcza uroczyście, że ma i wiarę, i pobożność, i miłość ojczyzny. Ale ten ma przynajmniej tę nad innymi wyższość, że wie doskonale o swoich dwóch stołkach i wie, na co mu one potrzebne. Właściwie nie siedzi on na dwóch stołkach, tylko udaje, bo mu tak wypada.

Liberalizm myśli, że jest bardzo stały w swoich przekonaniach, ale skazany jest biedny samą naturą rzeczy, samą logiką swoich doktryn, żeby na dwóch stołkach siedzieć. Nie siądzie wpraw-

dzie nigdy na stolku konserwatywnym, bo wmówił w siebie i w drugih, że to się nie zgadza z postępem: straciłby swoją rację bytu gdyby to zrobił. Ale jeżeli nie przechyła się nigdy na jedną stronę, to za to tem chyżej, i tem bezwładniej, wali się na drugą. Rzecz naturalna: prawo ciążenia ma swoje zastosowanie w świecie moralnym tak samo jak w fizycznym; na równi pochyłej można się jakiś czas utrzymać sztuczną gymnastyką, ale nie można stać na niej prawdziwie silnie. Liberalizm wychowany na przestarzałych pojęciach Jana Jakóba Rousseau, stoi na takiej równi pochyłej. Wyznaje prawo człowieka do nieograniczonej wolności, i do bezwzględnej równości. Jeżeli chce być zgodnym z sobą, to musi wtedy przyznać, że każdy ma prawo robić co mu się podoba, choćby to było ze szkodą wszystkich, i ojczyzny. Kto uważa społeczeństwo za kupę nieorganicznych atomów, za sumę jednostek tylko, a nie za organizm złożony tak jak organizm fizyczny człowieka, ten musi w praktyce dojść do konkluzji, i do postępów niezgodnych ze swoim przekonaniem i wolą. Jest liberał polski i szczerze polski, i szczerze autonomiczny: ale liberalna doktryna jest silniejsza od jego dobrych uczuć, i każe mu wzdychać za przymierzem z temi stronnictwami Rady państwa, które są właśnie zasadniczo nieprzyjaciółmi i Polaków, i narodowej autonomii krajów. Nie ma liberalizm punktu oparcia, nie ma środka ciężkości, i musi czy chce czy nie chce dać się pociągnąć i obalić na tę stronę, która jest liczniejsza i fizycznie silniejsza. Liberalizm nie jest socyalizmem, nie chce nim być, uważa socyalizm za zgubny dla Polski — (niektórzy liberałowie za zgubny dla religii także) — ale rad nie rad, siłą rzeczy, logiką swojej doktryny, musi pomagać i służyć socyalizmowi, którego jest poprzed-

nikiem a do niego przejściem. A prócz tego dobrze jest, praktycznie, być w przyjaźni z socyalistami: to się może przydać przy wyborach, przy jakimś kompromisie; dać gdzie jaki chwilowy sukces. W każdym razie przyda się na to, że nasz liberalizm okaże się w całej okazałości. A więc drukujmy odezwy pana Daszyńskiego w *Słowie Polskiem*, choć wiemy, że jego cele są zgubne dla każdego narodu, ale najzgubniejsze dla Polski.

Nie nauczyliśmy się politycznych i religijnych zasad za naszej niepodległości: mieliśmy tylko religijne i patriotyczne uczucia. W podległości powinniśmy byli nauczyć się choć tego, że zasady i stałość w nich są potrzebne każdemu człowiekowi, i każdemu narodowi, jeżeli chce politycznie żyć, i mieć siłę. Ale tej nauki nie nabyliśmy teoretycznie z emigracyjnych nieszczęsnych zatararów, ani z klęski roku 1846, ani z 1848: nie nauczyliśmy się praktycznie przez trzydzieści lat naszego publicznego życia w Galicyi. My często nie wiemy czem są nasze zasady, i do czego nas obowiązują. Czasem myślimy że brak zasad jest właśnie zręcznością w postępowaniu, i choć je mamy na dnie sumienia, to je starannie omijamy. Czasem znowu udajemy zasady. W każdym razie jesteśmy w nich nieszczerzy, ani z sobą samymi, ani z ludźmi. Nie jest szczerem w zasadach liberał namiętny w opozycyi, a gotów i rad stać się despota od chwili jak się do rządu dostał. Nie jest szczerem w zasadach krzykliwy katolik, który krzykiem swoim jątrzy jednych ludzi przeciw drugim. Nie jest szczerem w swoich zasadach tak zwany konserwatysta, który biernie lub czynnie pomaga zasadom i dążnościom przeciwnym. Co się zaś tego ostatniego tyczy, to on najrzadziej wie czem jest, i postępuje zgodnie z tem, co ma za swoje przekonanie.

Posługujemy się tą utartą nazwą konserwatysta i konserwatyzm, choć ona pojęcia nie oddaje ani nie obejmuje. Ale się utarła, i w braku lepszej służyć musi. Nazwy polskiej na to pojęcie nie mamy, jak nie mamy — brak charakterystyczny — polskiej nazwy na *souverain*. Może dlatego niema nazwy, że niema rzeczy: może jak się ustali i rozkrzewi pojęcie, wyrobi się i nazwa. Dość, że my rzadko kiedy wiemy, co to znaczy i do czego to obowiązuje. „Wierzę w Pana Boga, nawet chodzę do kościoła; własność cenię i swoją szanuję; rewolucji i przewrotów nie lubię; a więc: jestem konserwatystą.“ Za pozwoleniem: to wcale nie wszystko, i nawet dużo jeszcze brakuje. Konserwatyzm zasadza się nietylko na teoretycznym pojęciu, ale także, i nie mniej, na praktycznym działaniu. On jest przekonaniem, ale jest i obowiązkiem. Gdzie tego niema, gdzie przekonanie nie jest regułą postępowania, zawsze przytomną, ściśle przestrzeganą, statecznie stosowaną, tam niema konserwatyzmu. Takiemu człowiekowi zdaje się tylko, i zapewne w dobrej wierze, że jest konserwatystą; na prawdę jest on tylko ukrytym i nieświadomym pomocnikiem, sługą, narzędziem, dążności i zasad sobie przeciwnych; cichym współnikiem w ich przedsiębiorstwie — tylko bez udziału w zyskach!

Tak jak człowiek uczciwy, w swoich stosunkach prywatnych, nie zna i nie robi kompromisów ze swoim sumieniem i swoim honorem, nie puszcza się na podejrzone operacye i zarobki na przykład, tak samo konserwatysta prawdziwy, rzetelny, w życiu publicznym i politycznym, trzyma się zdala od zasad sobie przeciwnych, i nie robi nic, coby tym przeciwnym zasadom mogło ułatwić zwycięstwo. Spotykać je musi, wyrozumieć je powinien, i szanować, kiedy są szczerze; nie

powinien walczyć z niemi brzydką bronią kłamstwa, potwarzy, podstęp; może, i nieraz, w szczególnych przypadkach z niemi się porozumieć i zgodnie w pewnej sprawie lub okoliczności działać. Ale kto słowem czy uczynkiem, czy grozmem, zasadzie przeciwnej pomaga, kto ją chwali i za nieszkodliwą wystawia (w oczy lub za oczy), kto jej podehlebia, kto ją wspiera w jej usiłowaniach, przedsięwzięciach, wydawnictwach i t. d., ten albo udaje tylko, że jest konserwatystą, albo sam nie wie, co to jest to, czem być mniema. Nie jest konserwatystą rzetelnym ten, kto dla trochę większego dochodu naraża swój powiat, a pośrednio kraj, na szkody moralne i cywilizacyjne. Nie jest także rzetelnym konserwatystą ten, co ze swoich zasad gotów zawsze coś ustąpić, kiedy tego żąda istniejący rząd. Rząd można i trzeba popierać, kiedy on ma te same zasady i cele, co my: ale i taki można i należy zganić, jeżeli od tych zasad odstępkuje, i choćby niechęcią tym celom szkodzi. U nas wielu takich mniemanych konserwatystów było i jest! Wielu takimi sposobami wspierało, szerzyło, wzmacniało tę anarchię w umysłach, która się skończyła na anarchii w czynach, a przygotowywała się przez pisma i mowy, przez osoby i partye, dobrze widziane, zalecane, głaskane, zachwalane i czynnie popierane, przez tak zwanych, mniemanych, pozornych, nierzetelnych konserwatystów! Tacy winni bardzo wiele. Oni, gdyby byli checieli rozumieć jaśniej zasady, które wyznawali, gdyby byli raczyli zgadzać swoje działanie ze swoim przekonaniem, gdyby — niektórzy — nie byli dbali więcej o swoją wziętość i sukces niż o tryumf swoich zasad i dobro swojej ojczyzny, byłiby złemu stawiali opór, i zapewne nie bez skutku, gdyby wczesny, gdyby stateczny, i gdyby liczniejszy.

Mówiono to nieraz, że konserwatyści są zawsze, na całym świecie, leniwi, ociężali, i dla tego przegrywają sprawę przeciw śmiałym, obrotnym, bezwzględnyim przeciwnikom. Zarzut może słuszny, ale nie ze wszystkiem. Konserwatyści dla tego w walce muszą zawsze mieć warunki gorsze, że jako ludzie uczciwi nie mogą w walce używać środków brzydkich i złych, które przeciwnikom ułatwiają zwycięstwo. Ale oprócz tych utrudnień, jakie ma konserwatyzm na całym świecie, konserwatyzm polski ma największe, najszkodliwsze, w niejasności swoich pojęć i niestateczności swoich postępów.

Oprócz tej zaś, ma jeszcze jedną trudność, mechaniczną, fizyczną, wynikającą z natury naszego społeczeństwa. Jest ono przeważnie wiejskiem: skupienie i zjednoczenie jego pierwiastków dobrych, musi się odbywać po wsiach. Tu zaś zachodzi wielka istotnie przeszkoda, przestrzeni, odległości. W mieście łatwo z różnych ulic zejść się na jedno miejsce dla narady i porozumienia: nie kosztuje to wiele czasu, a pieniędzy nic. Na wsi, szlachcie i chłop musi zdaleka wybrać się na oznaczone miejsce, poświęcić na to pół dnia albo i cały dzień; ma przytem koszta; jeden jak drugi nie ma czasu na to, żeby często takie schadzki odbywać. Rzecz to na pozór mała, ale na prawdę znacznie utrudniająca działanie.

Przejrzeliśmy dotąd stosunek dwóch części składowych naszego społeczeństwa do ostatnich smutnych wypadków. Staraliśmy się dochodzić i wskazywać, jakie były powody od nich niezależne, lub ich własne winy, które sprawiły, że obie przyczyniły się do wytworzenia obecnego niepomysłnego stanu rzeczy w naszym kraju. Wypadnie nam jeszcze dochodzić, jakie były inne tego stanu przyczyny.

IV.

„Galicya jest wybornem polem dla socyalistycznej propagandy. Policya najczęściej zrzeka się ścigania sądowego, bo jest zawsze z góry pewna, że sprawa skończy się uwolnieniem oskarżonych. Spada więc na nich kara pięciu lub siedmiu dni policyjnego aresztu, za te same przekroczenia, za które w Czechach sądy skazują na cztery lata więzienia...”

Tak świadczą socjaliści sami, w swojej „Historii socyalistycznego ruchu w Polsce.” (*Geschichte der socialistischen Bewegung in Polen*. Zürich, 1895)¹⁾.

Musi to być prawdą, skoro wiadomość pochodzi od tych właśnie, których interesem byłoby raczej prawdę taką ukrywać. Ale dowiedziawszy się o tem z niemałym zdziwieniem, przychodzi się naturalnie do pytania: jak to być może? Jakim sposobem ten sam uczynek, który w Czechach pociąga za sobą ciężką karę czterech lat więzienia, w Galicyi uchodzi tak gładko, i karze się tak lekko? Przecież prawo jest to samo w Gali-

¹⁾ Stanisław Estreicher. Rozwój organizacyi socyalistycznej. *Przegląd Polski*. Luty, 1896, str. 294.

cyi co w innych krajach państwa austriackiego? Pojęcie przestępstwa musi także być takim samym? Jeżeli kradzież, morderstwo, podpalenie, zbrodnia stann, i wszystko inne uważa się w Galicyi za takie same przestępstwo jak w Czechach albo w Tyrolu, to i zamach na porządek społeczny musi być w Galicyi i dla niej uważany i prawem opisany jako taka sama wina, jak tam. A więc dlaczego ta wina bywa tutaj inaczej sądzoną i karaną jak tam?

Bo pojęcie prawne jest wszędzie to samo, ale zastosowanie tego pojęcia może być różnem. Niejasność pojęcia, musi pociągać za sobą mylne zastosowanie. Ta zaś niejasność pojęć, o której mówiliśmy wyżej, która nie dopuszcza u nas prawdziwego wyrobienia przekonań i zasad, ta niejasność pojęć, objawia się u nas w rozlicznych a prawie we wszystkich stosunkach, i ma za skutek postępowanie mylne. Nasze społeczeństwo ma wychowanie polityczne bardzo słabe, bardzo niedostateczne. Przed laty jeszcze czterdziestu, nie miało żadnej praktyki, i żadnego doświadczenia: a pojęcia swoje brało łatwowiernie i powierzchownie, z książek obcych. Z tych książek uczyło się teorii konstytucyjnych swobód, ich warunków i rękojmi: ale nie mogło nabrać ani sądu o tych warunkach i rękojmieniach, ani wyobrażenia o przyrodzonych koniecznych granicach tych swobód.— Książki, które do nas dochodziły i na nas wpływ wywierały, były jednostronne: były pisane przez myślicieli, teoretyków, którzy umieli pięknie wyłożyć idealną zasadę systemu reprezentacyjnego, albo wolności duku, albo sądów przysięgłych, ale nie umieli przewidzieć i wskazać przeszkód, z jakimi ta abstrakcyjna zasada w praktyce spotkać się musi. Nie umieli też powiedzieć, w czym i o ile idealna zasada będzie musiała spuścić cokol-

wiek ze swego idealu, żeby w rzeczywistości stała się i wykonalną, i dobrą w skutkach. Wszystkie te dzieła i teorie, na których my kształciliśmy nasze pojęcia, miały na oku jeden tylko wzgląd, i jeden cel, to jest wolność obywatela. Tego one nie rozumiały, że wolność obywatela jest wprawdzie i jego prawem, i warunkiem pomyślności społeczeństwa: ale że oprócz obywatela jest w społeczeństwie wiele innych czynników, i wiele stosunków, które mają także swoje konieczne prawa i potrzeby. Wszystkim zaś musi być uczynionem zadość, jeżeli to społeczeństwo czy ten naród, ma żyć bezpiecznie i rozwijać się zdrowo i silnie.— Nasze teorie myślały na przykład, że jeżeli wypiszą w prawie obowiązek płacenia podatków i dostarczania rekruta, obejmą tem cały stosunek obywatela do państwa, i uczynią zadość potrzebom i prawom tego państwa.

Myślały dalej, że jeżeli zapiszą w prawie wolność każdego wyznania, zabezpieczą tem samym potrzeby i prawa nie tylko każdego sumienia, ale i każdej społeczności religijnej. Tymczasem praktyka i doświadczenie uczy, że tak nie jest.— Z tej zaś jednostronności pojęć, która jest podstawą wszystkich prawie konstytucyjnych ustaw w Europie, wynika, że we wszystkich podobno państwach europejskiego kontynentu, ani wolność obywatela nie jest tak prawdziwą jak być powinna, ani interes społeczeństwa jako takiego nie jest należycie zabezpieczony. Prześladowanie kościoła, lub jednej narodowości w Prusach, ucisk kościoła we Francyi zawsze na uchwałach i prawach oparty, zatem niby legalny, wystarcza na dowód i stwierdzenie powyższego zdania.

Konstytucya austriacka z grudnia roku 1867 wyrosła z tego samego gruntu, z tych samych pojęć, a miała służyć kilkunastu różnym krajom,

o wielkich i licznych różnicach w usposobieniach i tradycjach narodowych, w stosunkach ekonomicznych, w językach, w stopniu cywilizacji i t. d. Z tego wynikało, że ani dla wszystkich równie dobrą być, ani nikomu naprawdę dogadzać nie mogła.

W Galicyi w szczególności napotykały konstytucyjne swobody i instytucje, społeczeństwo naprzód bardzo niejednolite pod względem wykształcenia, powtórne społeczeństwo doskonale przygotowane do tego, żeby swoją wolność pojęło i wykonywało mylnie. Za czasów Rzeczypospolitej nasza wolność szlachecka nie rozumiała wcale praw i potrzeby władzy, rządu: a opozycję przeciw rządowi uważała właśnie za warunek i za skutek wolności, za obowiązek dobrego obywatela. Po rozbiorach to społeczeństwo nie uważało żadnego z trzech rządów za rząd prawy. Opór, bierny przynajmniej, kiedy czynnym być nie mógł, nieważenie tego rządu, mieliśmy za pierwsze prawo swego honoru i swojej miłości Ojczyzny. Kilka pokoleń żyło w takich pojęciach i w takich uczuciach. Do wrodzonej więc nam skłonności, przybyło jeszcze to długie przyzwyczajenie, zupełnie naturalne i od nas niezależne, przez które uważaliśmy każdy rząd za swego nieprzyjaciela, siebie za jego urodzonych nieprzyjaciół. System reprezentacyjny w Austrii, a następnie nieszczęście roku 1863, wpłynęły na nasze stanowisko polityczne i na nasze postępowanie. Kierunek polityczny ustalił się tak, że jakakolwiek byłaby większość w Sejmie, czy większość Koła w Radzie państwa, stosunek kraju do państwa musiałby w zasadzie zostać takim, jak jest. Ale kiedy postępowanie, o którym stanowiła ostatecznie pewna niewielka liczba reprezentantów kraju, było ogólnie dobre i stateczne, te pojęcia naszego

społeczeństwa nie rozwijały się równym krokiem i w tym samym kierunku, nie wyrabiała się zdrowo, nie dojrzewały. Wrodzona podejrzliwość względem każdego rządu, tradycyjna niechęć do rządów rozbiorowych, połączyły się z interesem własnym (osobistym, czy partyjnym), i przez długie lata wychowywały społeczeństwo w tem wrznięciu czy mniemaniu, że wszelkie działanie zgodne z rządem, jest obrazą narodowego honoru, narażeniem narodowych swobód, albo niebezpieczeństwem dla obywatelskiej wolności. Ludzie, stojący na czele polityki krajowej, byli najczęściej podejrzani: licytacja opozycyjna i niby patryotyczna była popularną. Ta rola przechodziła z biegiem czasu z jednych ludzi i pism peryodycznych na drugie, ale nie ustała nigdy od roku 1866. *Gazeta Narodowa* i *Dziennik Polski* opatrzyły się że źle krajowi służą, i zmieniły się: ale zaraz na ich miejsce wystąpiły inne i gorsze, a im gorsze, tem więcej poszukiwane i czytane. Wymienimy tylko jeden przykład: *Kuryera Lwowskiego*. Z czasem, kiedy demokracja mniej więcej radykalna zaczęła gdzieindziej dawać sobie pozór katolicki, i gdy się to okazało niezłym przedsięwzięciem, zjawily się i u nas pisma tego koloru, i znalazły wzięcie, nawet duże. Nie mówimy o tych, które wydają socjaliści, lub ksiądz Stojałowski dla włościan i dla robotników, tylko o tych, które się piszą i wydają dla oświeczonych, i tych pojęcia, czasem nawet więcej, niż pojęcia, bo sumienia, tumania, krzywią i psują.

Wróćmy więc teraz do pierwszego pytania: dla czego uczynek, który w Czechach jest karany czterema latami więzienia, w Galicyi uchodzi na sucho, skarany, jak na żart, siedmioma dniami aresztu?

Dla niczego innego, tylko dlatego, że w Galicyi jest wielkie zamięszanie pojęć, wynikające

z rozlicznych przyczyn, odziedziczonych, historycznych, i nowszych. Socjaliści winszują sobie, że władze nie skarżą ich przed sądami, bo wiedzą z góry, że zapadnie wyrok uwalniający? To dziwne? Zkąd to może pochodzić? Ztąd, że sędzia przysięgły zbyt często źle pojmuje i wolność i swój urząd. Nasłuchał się od stu lat, że sądy cesarskie skazywały niesprawiedliwie za uczucia polskie na więzienie, albo na śmierć; nasłuchał się i tego, że sądy przysięgłych, gdyby były, nie dopuściłyby takiej niesprawiedliwości. Dziś sądy przysięgłych są, a on jest przysięgłym. W jego wrażeniu więcej niż w jego pojęciu, została jakaś mglista nocna sądów przysięgłych, jako środka i obrony przeciw samowoli i niesprawiedliwości sądów zwykłych: a z tej zrodziło się znowu instynktowe nie wyrozumowane uczucie, że przeznaczeniem i obowiązkiem tych sądów nie jest sprawiedliwość, ale miłosierdzie, pobłażanie. Dlatego, że sądy zwykle niegdyś wydawały wyroki niesprawiedliwe w procesach politycznych, dlatego dziś sędzia przysięgły w Galicyi czuje się skłonny do pobłażania względem zwykłego przestępcy. To polskie dobre serce, które zbyt często jest tylko szkodliwą jego miękkością, łączy się z niejasnym pojęciem: oboje razem każą mu być raczej obrońcą obwinionego, niż jego sędzią. Wszak zdarzyło się, że oskarżony podpalacz sam się przyznał do winy, a mimo to, na wielkie swoje zdziwienie, był uznany za niewinnego. W sprawach, gdzie chodzi nie o zwykłe przestępstwo, ale gdzie wchodzi w grę różne okoliczności i kwestye, tam ten sędzia bez należyte wyrobionej znajomości i opinii, myśli w dobrej wierze, że skoro każdemu wolno myśleć jak chce, to musi mu być wolno i robić co chce; że zatem on, sędzia, sprzeniewierzyłby się wolności, gdyby

uznał człowieka winnym za to, że napisał podburzający przewrotny artykuł: i w szczerem przekonaniu ale w mylnem i szkodliwem pojęciu, uniewinnia tam, gdzie powinienby skazać.

Oto jest powód, dla którego władze nie udają się do sądów: dla którego w Galicyi dostaje się kilka dni aresztu, za to, co gdzieindziej sprowadza kilka lat więzienia.

Ale przecież przysięgli orzekają tylko o istocie uczynku: wymiar kary do nich nie należy? Wyroki zatem mogłyby tu być tak ostre, tak odstrasające dla nieprzyjaciół społecznego porządku, jak są w innych krajach? Zapewne. Ale tu znowu trzeba wziąć na uwagę, że sędzia wyszedł ze swojego społeczeństwa, myśli jak ono, odebrał to samo co wszyscy polityczne wychowanie. On także, choć zwykły, nie przysięgły, może nie zawsze rozróżniać między wolnością obywatela a bezkarnością przestępstwa, prasowego lub innego: on także może mieć pojęcie niejasne i mylne o przestępstwie moralnem i społecznem: on także może stósować z pobłażaniem paragrafy kodeksu karnego, bo może nieraz myśli, że skoro coś jest zrobione w imieniu ludu i (niby) dla dobra ludu, to musi być dobrem, demokratycznym, postępem! Niejasność pojęć, lub pedantyczne trzymanie się litery prawa, wbrew jego duchowi, może się zdarzać między sędziami. Kiedy ksiądz Stojalowski, suspendowany a później wyklęty, odprawiał mszę, zdarzyło nam się pytać w rozmowie paru urzędników sądowych, jakim sposobem może mu to bezkarnie uchodzić? Przecież zniewaga religii stoi w kodeksie karnym wyraźnie jako przestępstwo?

— „To prawda. Ale kodeks określa to przestępstwo jako *Schimpfung* i *Lästerung*: a ksiądz

Stojałowski nie lżył religii, ani nie bluźnił, więc podług kodeksu winnym nie jest“.

Że większej zniewagi religii katolickiej nie ma, i być nie może, jak ofiara Mszy św., jak konsekracya chleba i wina na Ciała i Krew Pańską, rękami nieuprawnionemi, świętokradczo — że dla uczucia katolickiego nie może być okropniejszem, to w rachubę nie wchodziło? W kodeksie o tem nie było wzmianki!

Nieraz znowu sędzia sam wprowadzony jest w błąd niejasnem, chwiejnem postępowaniem władz centralnych! Kiedy od kilku lat podburzanie włościan i robotników przeciw bogatszym przybrało rozmiary widocznie już niebezpieczne, sądy chciały i próbowały nieraz położyć tamę złemu. Ale musiały zaraz przekonać się, że działały wbrew zamiarom i widokom najwyższych władz centralnych. Pisma socjalistów i księdza Stojałowskiego, rozżarzały bez upamiętania nienawiść społeczną: sądy wytaczały procesa i skazywały. Ale wtedy odebrały z ministerjum sprawiedliwości uwagę, że w Galicyi jest za wiele procesów prasowych! Nie zapytanie dla czego ich jest tak wiele, nie przypuszczenie że może jest za wiele: tylko wprost kategoryczne twierdzenie, że jest za wiele, bez względu na to czy one nie są słuszne i konieczne! Wobec tego cóż sądy miały robić? Żaden urząd niższy nie zdoła się utrzymać i działać, jeżeli nie jest pewien, że ma punkt oparcia w urzędzie wyższym. Każdy z osobna sąd czy sędzia jest niezależny: ale sądownictwo podlega ministrowi sprawiedliwości. Więc kiedy od tego odbierze taką wskazówkę, prosta rzecz, że nie wie co ma robić, i opuszcza ręce. Ci, którzy widzieli zdaleka, jak się anarchia szerzyła a rozruchy zbliżały, brali czasem za złe naszym sądom, że za mało, za słabo złemu zapobiegały. Zdaje nam się, że

nie ich miękkość i bierność, ale chwiejność władz centralnych była głównym powodem tego grzechu opuszczenia i zaniedbania.

Wolność jest potrzebna i święta, ale jej sprosne przedrzeźnianie, swawola, jest złe i zgubne; to my Polacy przynajmniej wiedziećbyśmy mogli. Bezkarność swawoli zaś, jeżeli trwa, choćby niedługo, musi sprowadzić nieład, anarchię.

Odpowiedzialność za nią zwalano także nieraz na władze i urzędy administracyjne. Nie wiemy czy one nigdzie nie uchybiły, i przypuszczamy, że tu i owdzie uchybić mogły. Ale o ile wiemy, nie brakło im w ogromnej większości ani świadomości swego obowiązku, ani gorliwości, tylko brakło pewnego i stanowczego kierunku. Naprzód, w dzisiejszym stanie gmin, urząd powiatowy nie mógł nigdy wiedzieć, kto się po gminach uwija i w jakim celu, ani takich agitatorów wysledzić, ani ich z powiatu wydalać. Powtóre, urząd powiatowy kiedy chciał jakie środki ostrożności przedsięwziąć, nie był nigdy pewnym, jak one będą widziane i przyjęte wyżej. Oglądał się na Namiestnictwo: co na to powie Namiestnictwo? Namiestnictwo nieraz byłoby szczerze chciało aprobować i dodać otuchy, ale — oglądało się znowu na ministerjum. A ministerjum?

To oglądało się na Radę państwa. „W Galicyi skonfiskowano to lub to pismo, rozwiązano to lub owo zgromadzenie? Będzie kłopot! Będzie zaraz interpelował Pernerstorfer lub inny podobny, będą nieskończone skargi po dziennikach — lepiej tego nie tykać, lepiej patrzeć przez szpary!“ Jak podług Fausta sama treść filozofii życia tkwi w maxymie *entsagen musst du, musst entsagen* — tak zdawać się mogło, że sztuka rządzenia zamyka się w maxymie podobnej: *Vertuschen musst du, musst vertuschen*. Tak było przez lata! Znosiło się

wiele rzeczy, których ani z obowiązku rządowego, ani z obowiązku moralnego, ani ze względu na kraj, znosić nie należało — aż doszło się do stosunków i wypadków, które się już vertuscho-wać nie dadzą.

Nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby władze miejscowe nie miały winy żadnej; owszem skłonni jesteśmy przypuścić, że i u nich mogła się zdarzać chwiejność, spowodowana niejasnością pojęć. Na dowód przytaczamy przykład. Przy wyborach do Sejmu w roku jeszcze 1889, chodzili po Jaśle ludzie, osmołeni, żeby ich nikt poznać nie mógł, z pałkami, i grozili tym wyborcom, którzyby śmieli nie głosować za ich kandydatem. Widzieli to, i stwierdzali głośno świadkowie naoczni, i najgodniejsi wiary. W Sejmie interpelacya: i odpowiedź komisarza rządowego, przyrzekająca ściśle zbadanie sprawy. Ale przy dochodzeniu starosta zdał raport tej treści, że nie może sobie po kilku tygodniach dokładnie przypomnieć; jednak, o ile z wrażenia sądzić może, nie zaszło w Jaśle nic podobnego. Czy był stronnicy, czy tylko opieszały? Nie możemy wiedzieć. Ale w każdym razie dziwne było jego sprawozdanie, oparte na wrażeniu. Dziwniejsze to, że Namiestnictwo poprzestało na takim sprawozdaniu. Przy wyborach też z roku 1895, było naturalnie więcej gróźb, więcej zastraszania i terroryzowania. A przy ostatnich wyborach do Rady państwa doszły one tak daleko, że aż sprowadziły tu i owdzie napaść na komisję wyborczą, i skończyć się musiały strzałami.

Jak się zresztą odpowiedzialność rozdziela między wyższe a niższe władze, tego zmierzyć nie możemy. Nie możemy tylko zaprzeczyć smutnego faktu, że jedno czy drugie, czy obie razem, powinności swojej nie spełniły jak należało. Fakt

podwójnie, i w dziesięcioro jeszcze smutniejszy przez to, że to władze z Polaków złożone, a chodziło o społeczny spokój, o dobrą sławę, i o polityczną siłę kraju polskiego. Socjaliści mówią otwarcie w wyżej przytoczonym swoim sprawozdaniu — (*Geschichte der Sozialistischen Bewegung*) — że mają dwie organizacye, które się najpomyślniej rozwijają w Galicyi. Jedna nazywa się Socyalistyczna Partya Polska, a druga Zagraniczny Związek polskich socyalistów. Czy takie organizacye i związki, za granicą zawiązane i z zagranicy rządzone, są dozwolone prawem, albo nie? Jeżeli nie są, to jakim sposobem i dlaczego są cierpiane? Jeżeli rząd nie wie, że one są szkodliwe, to sam ma pojęcia zamieszane i niejasne. Jeżeli zaś wie, a wiedząc znosi i toleruje, to jakiegokolwiek ma po temu powody i wymówki, pomaga własnymi rękami do anarchii, i siedzi on także na dwóch stołkach. — Powtarzamy zaś to, cośmy już nieraz powiedzieć mieli sposobność — niestety! Gdyby jakaś organizacya polityczna, zawiązana w celu oderwania Galicyi od Austrii lub odbudowania Polski, zrobiła setną, tysięczną, stutysięczną część tego, co robią związki socyalistyczne, z pewnością wszystkie władze, od najwyższych do najniższych, wiedziałyby doskonale co mają robić, i stosowałyby paragrafy kodeksu bez wahania: nie patrzalaby spokojnie i biernie na szerzenie się takiej organizacji. Otóż, jeżeli rząd ma niewątpliwie prawo i obowiązek strzedz całości granic państwa, to ma obowiązek nie mniejszy strzedz społecznego pokoju i publicznego porządku. Gdyby rząd był o tym obowiązku pamiętał lepiej i wcześniej, nie byłby się obecnie znalazł w smutnej konieczności zaprowadzenia stanu wyjątkowego i sądów doraźnych.

Rozkład bowiem, prowadzony systematycznie i zręcznie, a nie wstrzymywany, musi koniecznie rósć i wzmacniać się. Wszystko zaś co się działo w państwie, i w kraju, składało się jak umyślnie na to, żeby ludność utrzymywać w ciągłym oczekiwaniu i rozdrażnieniu. Od owej nieszczęsnej chwili kiedy hr. Taaffe wystąpił ze swoim pomysłem reformy wyborczej, ciągła niestałość, zmiany gabinetów, nieustające rozprawy o czemś co być ma, a czego nikt jasno nie widzi i nie określa. Wśród tego wybory do Sejmów i do Rady państwa; w kraju cała sprawa księdza Stojałowskiego. Potem nowa ustawa wyborcza uchwalona, nowa Rada państwa na tej podstawie wybrana, piąta kurya. W kraju wszystkie obietnice i wszystkie licytacje wszystkich *Przyjaciół Ludu*. Wreszcie anarchia w Radzie państwa, która, ze środka rozchodziła się ku obwodowi, i dodawała zachęty anarchistom i anarchiom we wszystkich krajach austriackiego państwa. Rozpręczenie i rozkład w objawach różnych, ale w rozmiarach wszędzie nie małych: wszędzie niebezpieczne i zgubne, ale u nas i dla nas najbardziej, bo my jesteśmy ci, którzy ze wszystkich narodów świata stracili już najwięcej, a gdyby jeszcze więcej tracić mieli, mogliby stracić wszystko, do reszty.

W tem zamieszaniu pojęć i stosunków, był jeden czynnik, powołany przed innymi do strzeżenia pokoju i zgody — Kościół. Ten ma w państwie austriackiem stanowisko bardzo osłabione, a działanie bardzo utrudnione, od czasu jak państwo zerwało jednostronnie konkordat, z niem dwustronnie zawarty. Jednak zaprzeczyć nie można a przyznać należy, że przez czas tego wikłania się i psucia naszych społecznych stosunków, duchowieństwo było czynniejsze i czujniejsze od innych. Biskupi strzegli wiernych przed zepsuciem,

kiedy obowiązywali ich w sumieniu nie czytać złych, przewrotnych pism: na to już oni poradzić nie mogli, że to co ogłosili za złe, szerzyło się potem jak przedtem przez pisma i mowy. Naprzeciw złych pism, stanęły z inicjatywy duchownych pisma dobre: nie wywierały takiego wpływu jak tamte, dlatego właśnie, że były dobre i do złych stron ludzkiej natury nie przemawiały. Duchownych także staraniem i pracą zakładały się te związki robotników, „Przyjaźnię“, które są rzeczywistą i skuteczną tamą przeciw wpływom i działaniom socyalistycznym po miastach. Zatem, wzięwszy wszystko razem, pokaże się podobno, że w obronie społeczeństwa duchowieństwo było czynniejsze, i praktycznie więcej dokazało, niż inne części tego społeczeństwa.

Na wsiach, stanowisko jego było niezmiernie utrudnione. Ksiądz, który dotąd posiadał zaufanie i uszanowanie swoich parafian, ujrzał się naraż podjęzywanym, źle widzianym. Jak niegdyś za rzezi humańskiej hajdamacy wieszali na jednej gałęzi szlachcica, katolickiego księdza, i psa, tak teraz wszystkie pisma i pisemka wmawiały w lud wiejski, że jego wrogami, sprzysiężonymi na jego szkodę, są szlachcie i ksiądz. Ci trzymają z sobą, przeciw chłopu! a oba razem tyle są warci co pies. Lud wiejski wierzył. Wiejski ksiądz, proboszcz czy wikary, widział z boleścią i trwogą, że ten lud nie tylko od niego się odwraca, ale nabiera pojęć i uczuć wprost niezgodnych z katolickiem sumieniem. Co się musiało dziać dobremu księdzu, kiedy usłyszał albo wyczytał to na przykład, że można śmiało czytać pisma zakazane przez biskupów, bo jeżeli to grzech, to można się z niego potem wypowiadać, i dostać rozgrzeszenie. Taki włościanin grzeszył świadomie i rozmyślnie, spuszczaając się na późniejsze rozgrze-

szenie: a przecież katechizmu się uczył, i wiedział jak się taki grzech nazywa. Jakaż dopiero musiała być boleść i zgroza księdza, kiedy widział, że wierni otwarcie nie robią sobie nic z kościelnych cenzur i wyroków? Że za księdzem suspendowanym, ba! za księdzem wyklętym, chodzą tłumami jak za świętym? Że słuchają Mszy nieprawnie, zatem świętokradczo odprawianej, i sami uczestniczą w tem świętokradztwie? To już nie stosunek proboszcza do parafii zepsuty; to gorzej bo rozpręganie kościelnej karności, i osłabienie wiary. Niewiedomość, ciemnota, łatwowierność, zaślepienie ludności wiejskiej, były powodem tej jego wielkiej winy; nie brak wiary i pobożności. Niemniej skutek był taki, a wina była wielka, i niebezpieczeństwo było wielkie.

Co biedny ksiądz na wsi miał robić? — Jeden miał sposób, jedną broń: mówić prawdę. Ale ta prawda, właśnie dlatego, że była prawdą a nie pochlebstwem, nie znajdowała przystępu i wiary. „Ksiądz musi tak mówić, bo z panami trzyma.“ Im więcej mówił, tem więcej stawał się podejrzany. Niejeden z rozdartem sercem mówił sobie, że mu się ziemia z pod nóg usuwa, że jego parafia się psuje: a że on w tej chwili nie może jej opamiętać i poprawić. Inny, w najlepszej wierze, żeby reszty wpływu nie utracić, sądził, że powinien stósować się trochę do uprzedzeń ludu, i unikać wszelkich stosunków, wszelkich pozorów, po których mogłoby na niego paść posądzenie, że trzyma z *obszarnikami i stańczykami*.

Zdarzać się zaś mogło tu i owdzie, że duchowny, jak całe nasze społeczeństwo, nie miał jasnych i wyrobionych pojęć, nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze złego, które koło siebie widział. On z tego społeczeństwa wychodzi, podlega tym samym wpływom co wszyscy; nie możemy się

dziwić, jeżeli ma i słabe strony takie, jak wszyscy. U księdza zaś one nie mogą tak dziwić i razić, jak u świeckich, są owszem łatwiejsze do zrozumienia i wybaczenia. Ksiądz wprowadzie powołaniem i stanem obowiązany jest do większej, surowszej cnoty, niż świecki: ale jest wychowaniem swoim mniej przygotowany do życia, niż świecki. Zaledwo wyszedł z gimnazjum, przygotowuje się do stanu duchownego w seminarjum. Czas zaledwo mu wystarcza na konieczne nauki teologiczne. Stosunków świeckich, politycznych i społecznych, on z książek się nauczyć, ani z praktyki poznać, nie ma sposobności. Kto wie nawet, czy nie byłoby rzeczą pożądaną, iżby przy naukach teologicznych były pewna część czasu odłożona na zapoznanie młodych kleryków z temi kwestyami: o tyle przynajmniej, iżby wiedzieli, jakie są bieżące i palące kwestye polityczne i społeczne, i jak Kościół te kwestye pojmuje i rozstrzyga.

Z zupełną tedy nieznanomością spraw i stosunków świeckich, idzie młody ksiądz na wieś, na parafię. Im lepsze ma serce, im lepszą wolę, tem łatwiej przy swoim niedoświadczeniu może być złudzoną i uwiedzioną. Jest młody, świata nie zna, zatem jest łatwowierny. Pragnie szczerze i gorąco rozkrzewienia wiary, wolności Kościoła: nie dziwnego, że kiedy w jakim piśmie, lub jakiej książce, zobaczy pozory gorliwości o wiarę i przywiązania do Kościoła, on temu piśmu i pisarzowi wierzy. Nie spostrzega się, że pod tymi pięknymi kwiatami jest ukryty jadowity wąż nienawiści i złości: i swoje pojęcia kształci na tem piśmie, czy na tej książce, dostaje się pod wpływ i kierunek tego redaktora, czy autora.

Oprócz tego, ten młody duchowny i sam najczęściej z włościan pochodzi, i na parafii pośród

nich żyje. Widzi więc ciągle, a czuje głęboko i żywo wszystko, co im dolega i ciąży. Kiedy więc zobaczy, lub wyczyta, że ten lub ów ujmuje się za ludem, jego dobre serce i dobra wola rwą się do tego człowieka i tego działania, a jego brak doświadczenia, jego nieznajomość ludzi i spraw, czyni go łatwowiernym, i nie daje mu wiedzieć tego, co w pozornej i mniemanej obronie ludu jest złem i dla Kościoła, i dla ojezyny, i dla ludu samego. Tym sposobem młody ksiądz, choć najlepszy, może łatwo dać się chwycić za swoje dobre uczucia i dać się ciągnąć na miedobłą stronę.

A prócz tego, natura ludzka wchodzi wszędzie. święcenie kapłańskie jej nie zmazuje: więc stan duchowny sam, jak nie broni człowieka od złych uczynków, tak nie broni go także od ludzkich słabości, uprzedzeń, niechęci, błędnych mniemań. Demokracja zła, zazdrosna i nienawistna, jest naszą polską chorobą oddawną: ksiądz jest Polakiem, i nie możemy się dziwić, jeżeli ten lub ów zarazi się tą panującą chorobą. Chował się w nieufności i niechęci; i musiałby mieć umysł niezwykły, zwłaszcza niezwykłą moc nad sobą i enotę, żeby tę wrodzoną skłonność przezwyciężył. — Zwłaszcza, jeżeli we dworze szlachcie lub wielki pan lekceważy przepisy kościelne, albo żyje nie całkiem przykładnie, ksiądz oczywiście musi się utwierdzać w takich swoich uczuciach i mniemi-aniach, i chyli się coraz bardziej na stronę demokracji fałszywej i szkodliwej.

Jest zaś w naszej naturze polskiej jedno złe tradycyjne, i do wykorzenia nader trudne: wrodzona instynktowa podejrzliwość i niechęć względem każdej władzy. Ksiądz, tak jak my wszyscy, może być skłonny do tego, żeby opozycję brać za istotę, cechę, i miarę, patryotyzmu, charakteru, i postępu. Nie on jest za to odpowiedzial-

ny, ale społeczeństwo, które całego poziomu swoich wyobrażeń dotąd nie podniosło. Jeżeli więc nie spotykamy u księdza w sprawach świeckich pojęć jaśniejszych, a odwagi cywilnej więcej, niż u siebie, to nie jego wina tylko nasza. U duchownych wszelako, ta podejrzliwość i niechęć względem władzy, mogłaby stać się bardzo złą i bardzo winną, gdyby przekroczyła granice spraw i władz świeckich, a rozciągnęła się na władze duchowne także. Nie znamy stosunków zagranicznych, a zwłaszcza kościelnych, ale zdarzyło nam się słyszeć, że we Francji i nawet w niektórych krajach państwa austriackiego, objawia się a nawet szerzy jakiś antagonizm, jakaś niechęć, duchowieństwa niższego do wyższego, jakaś podejrzliwość względem biskupów. Musi tam być chyba wielka nieznajomość istoty i organizacji kościoła, a nie wielkie jego zrozumienie i do niego przywiązanie, jeżeli takie uczucia mogą się szerzyć i krzewić. Każdy świecki cokolwiek wykształcony, a cóż dopiero każdy duchowny, zna ten endowny plan budowy kościoła przez boskiego architekta zakreślony, i wie, że w tej budowie żadna cegła nie może być naruszona, jeżeli gmach niema runąć; wie czem jest w kościele stanowisko i władza biskupów, kogo oni zastępują tak, jak Papież zastępuje św. Piotra, a pośrednio samego Chrystusa Pana. Protestanci podziwiają opatrzność doskonałą i wiecznotrwałość tego planu i tej budowy: wrogowie kościoła, bezbożnicy wszelkiego rodzaju i kształtu, znają ją także dobrze. I dlatego właśnie wytykają swoje usiłowania na to, żeby ją osłabić i podkopać. Używają na to środków różnych; czasem obłudnych jak miłość ubogich, lub żarliwość o wiarę (w postaci nienawiści do żyda); czasem otwartych, a trafiających do gorszych stron ludzkiej natury, jak pokusa

mniej karności, większej równości w dochodach. W roku 1848 rzucone było, i tu i owdzie było chwytane, hasło zniesienia celibatu.

Jeżeli takie pokusy szerzą się w innych krajach, niechże nas, duchownych i świeckich, Bóg od nich obrania, bo one nie są niczem innym jak rozprzeganiem Kościoła; a gdyby wzięły górę, doprowadziłyby do jego rozprzężenia i do upadku wiary.

Sprawa księdza Stojałowskiego wprowadziła w nasze stosunki kościelne i religijne zamęt, jakiego nie było w Polsce od XVI wieku. Ksiądz suspendowany, potem wyklęty, odprawiający Mszę: lud, który jego i takiej Mszy słucha, to świadomy, czy nieświadomy, ale istotny rozbrat i bunt w Kościele: zgorszenie, narodowy grzech i narodowy wstyd, podobny, jak kiedy szlachta gardłowała za żonatym księdzem Orzechowskim, tylko gorszy, bo Orzechowski przynajmniej Mszy nie odprawiał. Miał tyle sumienia, że zbuntowawszy się przeciw Kościołowi, urzędu kapłańskiego nie sprawował. Kiedy zaś Ojciec św. zdjął z księdza Stojałowskiego kłatwę, pod warunkami przez siebie przepisany, lud wiejski zrozumiał to tak, że Papież przyznał słuszość księdzu Stojałowskiemu przeciw Biskupom. Ksiądz Stojałowski tak to w swoich pismach tłumaczył, i znalazł wiarę u nieświadomych, zaślepionych, uwiedzionych.

Zamięszanie w stosunkach kościelnych wzmoгло się i doszło do wysokiego stopnia.

Niektórzy twierdzą, że ksiądz Stojałowski ma zwolenników między duchownymi. Nie wiemy, i nie widzimy ich. Ale zły przykład musi zawsze na niektórych działać, i może działać na duchownych tak, jak na świeckich. W zamieszanych, zawiechrzonych czasach, wichrzyciel duchowny zwykł się zjawiać tak, jak wichrzyciel świecki.

Ze zaś przemawia i trafia zawsze do złych uczuć i złych żądz ludzkich, do próżności, do pychy, do chciwości, do bezkarności wszelkiej, więc może znaleźć posłuch i poparcie u gorszych księży, bo i oni nie są od złych skłonności wolni i zabezpieczeni. Przykład księdza Stojałowskiego, jego bezkarność może zwłaszcza, działały, skoro ksiądz Szponder wstąpił w jego ślady i do wyklętego kapłana jeździł z holdem i po błogosławieństwo. Zgorszenie straszne, ale dotąd wyjątkowe. Wszelako oznaka zawsze zła. Czy ksiądz Stojałowski znosił się z urzędnikami rosyjskimi, jak to o nim pisano, czy ofiarował im się na założyciela jakiegoś prawosławia z pozorami łacińskiego obrządku, to tylko on jeden wie. On zresztą sam, jako osoba, zejdzie z pola prędkiej, czy później. Ale złe ziarno z jego zasiewu zostanie, i może długo jeszcze schodzić na naszej ziemi. Szkoły złych księży dotąd dzięki Bogu nie stworzył, ale przykładem swoim już zepsuł, choćby jednego tylko księdza Szpondra. Oby nie znalazło się takich więcej.

Zepsuł zaś znacznie lud, a inni nie łatwo może naprastują to, co on skrzywił. Kościelna jedność, kościelna karność bardzo musi być rozprzędzona w pojęciach i sumieniach ludu, skoro on mógł tak licznie, tak uporeczywie i stale trzymać się księdza, osądzonego i ukaranego przez Biskupów i przez samą Głowę Kościoła. Kiedy po wybojach do Rady państwa w roku 1897 tłumy włościan prowadziły w tryumfie księdza Stojałowskiego od Krakowa do Liszek, serce się ścisnęło z bólu. Ten lud krakowski, który miał zawsze tę sławę, że był na całej ziemi Polskiej najoświecieńszy i najbardziej patryotyczny, ta piękna biała sukmana, na której widziało się zawsze jakiś odbłask ra-

clawickiego słońca, co się z nią stało? Nie taka już biała, nie taka czysta, jak była. Wyczyści się ona jeszcze, da Pan Bóg; ale to wszystko razem dowodzi, że nie sam nasz stan polityczny i społeczny, ale nasz stan religijny także jest mocno zachwiany i nadpsuty.

V.

Stary jeden pisarz, ksiądz Piotr Grabowski, wydał w roku 1598 małą książeczkę, którą nazywał *Zwierciadłem Rzeczypospolitej*. Pisał ją w czasie, kiedy Polska była silnie zaburzona zatargami z Zygmuntem III: tymi zatargami, co skończyły się miały wojną domową, rokoszem Zebrzydowskiego, wielkim nieszczęściem, wielkim osłabieniem ówczesnej Polski. Mówi zaś i przestrzega, że jeżeli się na czas nie opamiętamy i z chorób naszych nie wyleczymy, zgotujemy sobie niechybny upadek ojczyzny.

„W ciele naszej Rzeczypospolitej znajduje się chorób szkodliwych, niebezpiecznych i śmiertelnych dosyć. Najduje się też u nas i to, że tych chorób nie znamy ani ich uważamy. A co najgorsza, że sobie lekarze dobieramy częścią nieżyczliwie, częścią nierozsądnie, częścią niedbałe. Zkąd do tego przyszło, że jeżeli przy staraniu naszym pilnem łaska boża nas nie poratuje, już sobie i ojczyźnie swej grób gotować możemy.“

Jakież są te choroby? Stary autor wypisuje je porządnie i nawet liezbami oznacza:

„1. Zgaśł w nas zelus chwały Bożej. 2. Łakomstwo. 3. Niezgoda, na którą sam Zbawiciel wydał wyrok: wszelkie królestwo w sobie zwaśnione

będzie zniszczone. 4. Wykręty prawne, niesprawiedliwość sądów, krzywda i płacz wdów i sierot. 5. Nadużywanie darów bożych. Nie upośledził nas Pan Bóg dowcipem: używamy go na wykręty i intrygi. Nie upośledził bogactwem: marnujemy je na niepotrzebne rzeczy. Uczcił nas wolnością: a my ją obracamy na szkodę ojczyzny, na krzywdę ludzi, na obrazę boską. 6. Wzgarda zwierchności, praw i urzędów, tak, że co się zachce to i wolno. Wszyscy mają się za królów i senatorów, wszyscy rządzą i jako chcą kierują, a zachwalstwo i swawolę swoją płaszczeni wolności pokrywają. Na ostatek, 7: straciliśmy ono ojcowskie serce, do służby ojczyzny gorące, a do obrony jej nie zatrwożone.

W tem zwierciadle, postawionem przed oczy Rzeczypospolitej, żeby się w niem przejrzeć mogła, właśnie temu lat trzysta, odbija się dość dokładnie wizerunek naszej biednej Polski dzisiejszej, tak, że zdaje się jak żeby zwierciadło dla niej było zrobione i wystawione. Są te same choroby: a choć nie każdy człowiek i nie każdy stan ma w sobie wszystkie siedm, to w narodzie całym znajdują się one wszystkie, żadnej nie brakuje.

„Zgasła gorliwość o chwałę Bożą”: to naprzód człowiek otwarcie bezbożny, który niedowiarstwo swoje ma za mądrość, niem się popisuje, i niem młodszych do koła siebie zaraża i psuje. Takich na wsi jest jeszcze mało, ale po miastach wielu, a co zupełnie nowe i najsmutniejsze, są nawet takie niewiasty. Ale to nie wszyscy wcale. „Zgasła gorliwość o chwałę Bożą” i w tych obojętnych, co na wiarę otwarcie nie uderzają, ale ją uważają za rzecz podrzędną i nie konieczną: zgasła i w tych, co w głębi serca wiarę chowają, ale w uczynku przykazań i przepisów jej nie peł-

nią. „Zgasła gorliwość o chwałę Bożą”, bezwiednie, i w tych włościanach co wierzą i modlą się szczerze, ale władzy kościelnej nie słuchają, a słuchają Mszy św. nieprawnie świętokradzko odprawianej. Zgasła ona gorzej w tych, co sobie rozumują, że można zakaz kościelny przestąpić, zgrzeszyć, bo się za to przy spowiedzi rozgrzeszenie przecie dostanie. O złych księżach już nie mówimy: w tych chwała Boża zgasła wtedy najbardziej dopiero, kiedy jest ustawicznie w słowach, a uczynki są obrazą boską. W takich złe podnosi się do wyższej potęgi przez obłudę. — Łakomstwo, chciwość? te znowu w różnych rozmiarach i kształtach znajdzie się w różnych warstwach naszego społeczeństwa. Ono naprzykład sprawia, że lud wiejski tak łatwo wierzy i daje się prowadzić socjaliście, który mu podział gruntów obiecuje. Ono jest powodem tych oszukaństw i sprzeniewierzeń, które nierzadko niestety zjawiają się w różnych naszych zakładach, przedsiębiorstwach, i nawet urzędach gminnych. Nie zgodą uzbraja się w wykręt, w fałsz, podstęp, potwarz; i tą bronią uderza rewolucjonista, spiskowiec, na stańczyka — fałszywy katolik na liberała, ten wzajem na niego — radykał, zbuntowany ksiądz, socjalista, na wszystkich. Darów Bożych nadużywamy, jedni dowcipu, na wykręty i podstęp, żeby siebie z krzywdą drugich wynieść; drudzy bogactwa, na marne i niepotrzebne zbytki, inni wolności na swawolę swoją, a na szkodę ojczyzny. A ojcowskie serce do służby ojczyzny gorące, ten duch publiczny, który publicznego dobra strzeże, a dla osobistego dobra tamtemu nigdy szkody nie wyrządzi ani wyrządzić nie pozwoli, ten zbyt często niestety w naszych słowach i uczynkach, w naszych pismach i radach, w naszych zabiegach, zgromadzeniach,

wyborach, i t. d., wywiesza się uroczyście jako niby nasz cel, ale osłania sobą stronnictwo, a czasem i osobiste cele i korzyści.

Zobaczmy teraz, jak opisani są ci lekarze, których sobie na nasze choroby dobieramy, i czy dzisiejsi do ówczesnych nie podobni. Jest ich trzy rodzaje:

Pierwsi są lekarze złośliwi. Ci utrzymują, że powodem wszystkiego złego są królowie. „Zbierają oni wszystkie defekty pańskie i eksagierują to na biesiadach, na sejmikach, nawet i pismy, a drugie rzeczy zgola niewstydliwie zmyślają. Ci ludzie, rozumiejąc, iż się w nich wszystkie godności i dzielności znajdują, przodkować chcą, bez żadnego na dobro ojczyzny respektu. Więc zazdrość dzielności lub szczęścia tych, których tem obojętnie nie dochodzą... A chcecie ich poznać, poznajcie po uczynkach. Zawsze u nich ojczyzna na ustach, ale patrzcie, co robią, kiedy przyjdzie do rzeczy. Umieją tylko krzyczeć, że gore, i krzyczeć jeszcze głośniej, że król nie ratuje, na to, aby te rozterki, niezgody i mieszaniny móc jak największą wzięły, przy których najłatwiej daje się zaspokoić czy łakomstwo, czy zazdrość, czy wyniosłość i zamniemanie o sobie“.

W innych czasach to pisane i o innych ludziach, ale do naszych czasów i ludzi doskonale przystaje. Grabowski miał na myśli demagogów arystokratycznych: ale podstawmy w ich miejsce demagoga demokratycznego, czy nie takie same będą jego sposoby działania, i powody, i cele? Króla dziś niema, więc na niego krzyczeć nie można: ale „zbierają się wszystkie defekty“ szlachty i ludzi posiadających wogóle, „eksagierują się na biesiadach, na zgromadzeniach i wiecach, a drugie rzeczy zmyślają się zgola niewstydliwie“, czy nie zupełnie to samo? U tamtych była „za-

wsze na ustach ojczyzna“: u tych jest zawsze na ustach „Lud“. Ale ci nie więcej jak tamci robić umieją, tylko krzyczeć i krzyżeć, i rozterki i niezgodę szerzyć, bo w nich najłatwiej zaspokoić mogą swoje żądze, któremi są: „1) arrogancya, 2) ambicya, 3) łakomstwo, 4) zazdrość, 5) waśń“.

To jeden rodzaj lekarzy. Rysopis może przypadłby do niejednego naszego *Przyjaciela Ludu*, jak żeby jego własny. A inne nie mniej podobne.

Rodzaj drugi, to „lekarze nierozsądni.“

„Ci, acz intencji szkodenia nie mają, jednak nieostrożni są na sztuki tych złośliwych, a przez to siłą szkodzą, sentencje ich naśladując i ludzi kredytem swym zasięgając“. Kubek w kubek nasi pozorni, czy połowiczni, konserwatyści na dwóch stołkach, którzy nie mają albo dość roztropności, żeby złe zobaczyć i rozpoznać, albo dość odwagi i charakteru, żeby je głośno za złe uznać i według sił pokonywać.

Trzeci znowu rodzaj to „lekarze niedbali“. „Ci życzą dobrze Rzeczypospolitej, a tamtych złośliwych znają doskonale i ganią. Ale na to, żeby miał sztuki owych złośliwych odkryć, żadną miarą nie da się namówić. Zbywa mu na śmiałości, boi się trudu“. „Tym sposobem dobrzy ludzie tracą serce, a źli go nabierają. Nieraz się trafi, że który z tych niedbanych, gdy go zuchwały prosi, albo mu grozi, podda mu się dla miłego spokoju. I tak od tych oboich pośledniejszych lekarzy — (nierozsądnych i niedbanych) — onym pierwszym złośliwym Rzeczypospolita bywa wydana.“

A to, czy nie żywy wizerunek innego znowu gatunku naszych tak zwanych konserwatystów? Czy nie tak samo się dzieje? Żwierciadło całe, z chorobami i lekarzami, stosuje się do nas

tak dobrze, że prawie pytać można, kiedy to pisane, przed laty trzystu, lub dziś?

Ale może to przesada i nieprawda? Może stan kraju wydaje nam się gorszym, niż jest? Nie stało się przecież nic strasznego! Były prawda napaści na żydów i zrządzone im szkody, ale zdarzyły się w małej liczbie powiatów tylko, i nie były krwawe. Może tu i owdzie żyd jaki był wybity, ale żaden nie był zabity, ani nawet poraniony. Żandarmi strzelali i zabili kilkunastu chłopów, to bardzo smutne: ale wszak bójki i śmierci zdarzają się nieraz w krajach innych, przy wyborach na przykład, a nikt tam nie narzeka na to tak bardzo, i nie widzi w tem złej wróżby na przyszłość. Po cóż darmo ludzi straszyć, i wystawiać im stan kraju w świetle zbyt czarnem?

Niektórzy tak mówią, ale się mylą. Nasze ostatnie rozruchy nie są wielkim wypadkiem, któryby obchodził całą Europę, historya powszechna opowiadać o nich nie będzie — to prawda. Ale u nas i dla nas były wypadkiem ważnym. Nie ludźmy się i nie podchlebiajmy sobie; szkoda jest wielka, znak jest zły, i skutki mogą być złe.

W czem ta szkoda, ten zły znak i te możliwe złe skutki?

Pracowaliśmy przez lat z górą trzydzieści nad tem, żeby temu krajowi przywrócić wewnętrzną jedność i siłę, a wyrobić znaczące wpływowo stanowisko w państwie. W niejednym mogliśmy się pomylić, nie jedno zrobić nie tak dobrze, jak się dało: ale ogółem wzięwszy nie pracowaliśmy bez skutku. Zamożność kraju i jego oświata, podniosły się znacznie przez te lat trzydzieści. To co mówią oszczercy, że Sejmy i Rady powiatowe nie zrobiły nic dla ludu wiejskiego, że o nim nie pamiętały, a panowie tylko go wyzyskiwali i ze skóry prawie darli, to jest kłamstwo, które-

mu przeczy cały stan kraju, oparty na mnóstwie ustaw krajowych i powiatowych uchwał. Spokój społeczny, zgoda między dworem a wsią, zdawała się robić postępy i utrzymywać się. Stateczna zaś i roztropna polityka posłów polskich w Radzie państwa, oparta na solidarnej ich jedności, dała Kolu polskiemu stanowisko tak znaczące w Radzie państwa, przez to w państwie, że wszystkie ile ich było rządy i wszystkie stronnictwa, musiały się na Polaków oglądać, z nimi się liczyć, ich pomocy potrzebować. Mieliśmy tam siłę rzeczywistą: a dla naszych spraw krajowych i dla naszego ogólnego stanowiska narodowego, niezmiernie potrzebną i pożyteczną.

Nie mówimy, że to jest zupełnie i nieodwołalnie stracone, ale jest znacznie osłabionem. Rozruchy okazały, że jesteśmy społeczeństwem bez równowagi, które każdy kto zechce może zaburzyć. Na takim polegać i opierać się nie można: z takim nie trzeba się bardzo liczyć, bo ono prawdziwą siłą nie jest. Oto wrażenie, jakie my Polacy robimy dziś na Niemczech, Czechach i wszystkich innych. Nasza dobra sława, opinia, jaką ludzie o nas mieli, poniosła znaczny uszczerbek.

Oprócz tej szkody moralnej, jeżeli się tak można wyrazić, jest inna ściśle już praktyczna i faktyczna. Nasze znaczenie i wpływ w Radzie państwa, zatem w państwie, zasadzały się na zwartej jedności i liczbie głosów polskich, które zawsze i nieodmiennie głosowały tak samo. Każdy rząd wiedział zawsze z góry i na pewno, że tych kilkadziesiąt głosów polskich padnie zgodnie, przy każdej sprawie, za rządem albo przeciw niemu. Rzecz prosta, że im większa liczba tych głosów, tem większa ich waga, i tem większa dla rządów czy stronnictw potrzeba ich pomocy.

Nieprzyjaciółom różnego rodzaju była ta jedność Koła polskiego solą w oku, a rozbitcie jej upragnionym celem. Niemcy widzieli w tem tę dla siebie korzyść, że Kolo polskie stało zawsze wiernie przy narodowej odrębności krajów i ich autonomii. Liberalowie radzi byli widzieć Kolo polskie rozbitem lub uszczuplonem, bo wiedzieli, że w sprawach religijnych, w sprawach między Kościołem a Państwem, Polacy, jeżeli nie zawsze dość śmiało i stanowczo Kościoła bronią, to przynajmniej nie odstępują go nigdy. A wreszcie radykał i anarchista z Rady państwa, ten pragnął uszczuplenia Koła polskiego i zachwiania jego jedności, bo wiedział, że znajdzie to Kolo zawsze sobie przeciwnem, a gotowem do obrony państwa, społecznego porządku, i prawa.

Temu pragnieniu i interesowi nieprzyjaciół zewnętrznych, wygodzili uprzejmie i usłużnie nieprzyjaciele wewnętrzni. Ludowcy, socjaliści, Stojałowczyki, rzucili hasło: „poseł chłopski nie powinien wchodzić do Koła polskiego, nie powinien poddawać się jego solidarności, bo przez to służyłby tylko pańskim interesom, a nie swoim“. Wybory odbywały się pod tem hasłem, a w wielu okolicach wyborcy wierzyli ślepo a namiętnie, że ten poseł będzie dla nich najlepszym, który do Koła nie wstąpi. Stało się też, że Kolo zmniejszyło się o kilka do kilkunastu głosów. Potworzyły się po za niem małe grupy posłów polskich, które w głosowaniu łączyły się z różnemi. Co na tem zyskał lud wiejski i jego interes? Nic zgola. Owszem stracił. To co go najbardziej obchodziło, miałoby lepsze widoki, udałoby się łatwiej przez Kolo polskie niż po za niem. — A więc kto na tem rozerwaniu Koła wychodzi dobrze? Pośrednio Niemcy; bezpośrednio ci panowie, którzy na czele tych małych klubików pol-

skich stoją. Każdy z nich, gdyby z innymi w Kole polskim zasiadał, znaczyłby tyle, ile ma własnej wartości i zdolności. Ale osobno, jako komendant kilku głosów, on nabiera większej wartości, on coś znaczy, on może się stać potrzebnym! O te kilka głosów, którymi rozporządza, stara się mniejszość, rada wzmocnić się o tyle, a przeciwników o tyle osłabić w szczęśliwym razie może się starać i układać i sam rząd. A pan Daszyński, Danielak, Stojałowski, który w Kole zniknąłby między sześćdziesięcioma, osobno jest czemś, a przynajmniej czemś się wydaje.

I to jest jedynym skutkiem ich działania, jedynym celem. Siła polska w Wiedniu zmniejszona, polityka polska osłabiona, dla kraju i narodu szkoda oczywista; ale dla tych panów oczywista korzyść! — Przykro jest bardzo widzieć posłów włościańskich, którzy się nie spostrzegają i na ten lep dają łapać. Tem przykrzej, że są między nimi ludzie zdolni rzeczy lepiej rozumieć. Mają niezucia polskie, szczere: a sprawie polskiej takim postępowaniem szkodzą. Chcieliby dobrze służyć i włościanom, i krajowi w ogólności: a obierają po temu drogę mylną, i służą tylko ambicji czy próżności swoich mniemanych przyjaciół. Zaślepieni są tak, że nawet oczywistość nie może im zdjąć tego bielma z oczów. Przed wyborami woła się w niebogłose, że chłopci powinni mieć swoich posłów. a nie wybierać szlachcica lub innego zdrajcę. Ale z wyborów chłop wychodzi rzadko; częściej ten, który go prowadzi i nim się posługuje. Czy pan Danielak jest chłopem? albo ksiądz Stojałowski? albo pan Stapiński? Nie, on o wyborze chłopu prawil dlatego tylko, żeby innego usunąć, a siebie — podsunąć. Znowu pytamy, czy włościanie na takiej zamianie zyskują? Oni nie, ale ci panowie dosyć. I nie spostrzegają

się chłopci, i nie rozumieją, i dają się wodzić dalej. Nie otwiera im oczów nawet wstyd, na jaki ich ci panowie narażają. Kiedy Niemcy, centraliści i radykaliści, umyślili nie dopuścić do żadnej uchwały w Radzie państwa, używali niezliczonych interpelacji i wniosków naglących, żeby każdą sprawę usuwać. Pomagali im w tem panowie dowódcy tych osobnych polskich klubików. Między innymi wystąpili z interpellacją o jakieś straszne nadużycie jednego z sądów galicyjskich. Wiadomości o tem zasłyszeli z powietrza, albo wyczytali w jakim piśmie. Sami nie chcieli swojej firmy dawać tej interpellacji; wysunęli naprzód chłopca. — Ten podpisał pierwszy, oni dopiero za nim. Pokazało się, że wszystko było wierutną i głupią bajką, a niegodziwą potwarzą. Interpellant naraził się na śmieszność; ale oni przewlekli obrady, przeszkodzili do uchwał pożytecznych, i swój cel osiągnęli.

To lud wiejski powinien już wiedzieć, że osłabienie kraju, a osłabienie Koła polskiego w szczególności, jest wielkiem pragnieniem i interesem wszystkich naszych nieprzyjaciół zewnętrznych: Niemców, jak innych. On, który się do uczuć polskich poczuwa i przyznaje, pomaga przecież tym nieprzyjaciółom, kiedy wpływ i powagę Koła polskiego osłabia. Szkodzi tem bardzo i ciężką winę bierze na swoje sumienie. Ale zapewne nie rychło się opatrzy, a bodaj nie poniewczasie pozna i przyzna, gdzie są jego przyjaciele prawdziwi, a gdzie udani. Jeżeli przy jakich przyszłych wyborach, Koło polskie zejdzie na jeszcze mniejszą niż dziś liczbę głosów, szkoda będzie tem większa, siła kraju tem słabsza.

To jeden zły skutek tych długich wicherzeń i tych zaburzeń.

Drugim jest to, że się nasz naród znówu sam na sobie zawiódł. Polak z pod rosyjskiego i pruskiego rządu patrzył na Galicję przez lat trzydzieści z otuchą, z ufnością, z radością. Myślał i wierzył, że w Galicji przywykamy i wprawiamy się do publicznego życia i do rządzenia sobą. Wyrabiają się tędzy ludzie; porządkują się jedne po drugich ważne sprawy. Jakoś to idzie, dzięki Bogu, może więc pójdzie coraz lepiej! Teraz zobaczyli co? po trzydziestu latach rozbrat otwarty i namiętny między szlachecciem i chłopem, stanowią wisko kraju w państwie osłabione, lud wiejski gotowy dać się użyć za narzędzie każdemu, kto go zechce oszukać i podburzyć, a porządek społeczny na łasce wicherzyeli! Dziś Królewski lub Wielkopolski nie zazdrości naszemu szczęściu, nie liczy na nasz rozum i naszą siłę, tylko z gorczyzą nam wyrzuca: to tyleście dokazali przez trzydzieści lat wolności? to takie owoce waszej pracy? Nieprzyjaciele zewnętrzni zaś, te wielkie mocarstwa, zawzięte na naszą zgubę, ci dopiero tryumfują i urągają i zacierają ręce z radości, winszują sobie, że Polacy nigdy do siły dojść nie potrafią. A kto wie, czy ich ręka, ich pieńiędzy nie były w tych zaburzeniach? Ci obcy ludzie, co chodzili po wsiach i podżegali przeciwko żydom, mówili często po niemiecku, jak się pokazało przy śledztwie. Dlaczego po niemiecku? Zkąd oni tu przyszli? po co? kto ich przysłał? Ulotnili się, zanim ich władze przychwycić mogły, ale ich niemiecka mowa pozwala się domyślać, że był ktoś, komu lepszy polski stan rzeczy w Galicji zawadzał i kto pracował nad tem, żeby go zepsuć.

To zaś jeszcze nie najgorsze skutki. Ten jest najboleśniejszy i na naszą przyszłość najszkodliwszy, że nienfuość i niechęć chłopca do szlacheica,

przez długie lata rozdmuchiwana i pielęgnowana, wzmogła się znów, a Bóg wie, kiedy da się przekonać i uśmierzyć. Może pokolenia całe przejdą, a ten jad, wszczepiony w nasze ciało, będzie je jątrzył i zatrwał. W roku 1846 mieliśmy przynajmniej tę pociechę, że choć polskie niestety ręce z Towarzystwa Demokratycznego siały to piekielne ziarno, to pielęgnowały je i hodowały ręce obce, na zgubę polskiego imienia zawzięte. Staraliśmy się przez pół wieku, i szczerze, rany te zagoić. Ale kiedy się istotnie goić zaczęły, rozdrapała i rozkrwawiła je na nowo ręka zbrodnicy — tym razem wyłącznie polska niestety! Kiedy się to naprawi? Kiedy lud wiejski przekona się nareszcie, że to nieprawda, jakoby szlachcic był jego nieprzyjacielem? Jak ten nieszczęśliwy Syzyf z greckich baśni musiał w piekle wytaczać zawsze pod górę kamień, który mu z samego szczytu zawsze aż na dół spadał, tak my po pół wieku musimy rozpoczynać na nowo robotę, która, zdawało nam się, że była w pewnej części wykonana. Wtedy poeta Ujejski z samej głębi serca polskiej szlachty prosił Boga: „Rękę karaj nie ślepy miecz“. I dziś mówimy tak samo; tylko ta ręka, godna kary Boskiej, bo „przyszłość naszą cofnęła wstecz“, to była tym razem ręka Polaków.

Ten organiczny i harmonijny układ społeczeństwa, który był naszym głównym celem, bo jest głównym warunkiem siły i przyszłości, ten znów odłożony jest i cofnięty w przyszłość Bóg wie jak daleką. W swoim czasie emigracyjni emisariusze Towarzystwa Demokratycznego, wystawiali zawsze Lud, nie jako część Narodu, ale jako jego przeciwnieństwo: w ich naukach, to co jest jedną organiczną całością, ukazywało się zawsze jako dwa pierwiastki różne, dwie siły sprzeczne. Ich celem nie było połączenie wszystkich części skła-

dowych narodu na większą siłę wspólną, ale walenie i jątrzenie jednej części przeciw drugiej. Ich następcy, demagogowie dzisiejsi, robią to samo. Lud wiejski zaś, w chwili, kiedy zaczyna poczuwać się do uczestnictwa w sprawach publicznych, w pierwszej chwili swojego przebudzenia, już jest zarażony tem pojęciem, już pojmuje naród polski jako skład dwóch części nawzajem sobie przeciwnych i wrogich. Takie zasadniczo fałszywe pojęcia, trudno dają się wykorzenić: są zaś dla każdego społeczeństwa zgubne, dla każdej ojczyzny zabójcze, bo to niemoc wszczepiona w sam szpik jej kości. Dla Polski oczywiście zgubniejsze niż dla każdej innej o tyle, o ile ona od każdej innej słabsza i nieszczęśliwsza.

Jeden jeszcze zły skutek tych wypadków wymienić trzeba, to nasz stosunek do żydów. Dotąd mieliśmy z nimi spokój w życiu politycznym, a nieraz i od nich pomoc. Teraz, oni swoich nadużyć, swojej lichwy nie zaprzestaną, ale zechcą się mścić, bo istotnie krzywdy doznali. Ta krzywda, która była powodem stanu obłączenia w kilku powiatach, podniosła bardzo ich zarozumiałość. Oni w tem widzą swoje zwycięstwo. Żyd ubogi w małym miasteczku boi się chłopą, ale nie może przecież wytrzymać, żeby go nie wyzywał i z niego się nie natrząsał. Żyd bogatszy i oświećszy, czuje się silniejszym niż kiedykolwiek i objawia namiętną zawziętą nienawiść przeciw wszystkiemu co polskie. Wpływ niemiecki i niemiecko czy wiedeńsko żydowski, nie omieszka z tego ich usposobienia korzystać i jątrzyć ich dalej. W pismach żydowskich daje się to usposobienie widzieć dość wyraźnie, i pozwala wnosić, że we wszystkich naszych działaniach politycznych, zechcą nam odtąd robić na złość i szkodzić. Im już w wielkiej części zawdzięczamy wybór socjalistów na posłów do

Rady państwa: w przyszłości możemy się spodziewać podobnych usług więcej.

Wszystkie te powody i skutki, złego, któreśmy po krótkce wymienili, są razem wzięte złym znakiem, znakiem nie małego u nas zepsucia. Nie jest ono powszechne oczywiście, ale jest dość głębokie, a ogarnęło wszystkie warstwy społeczeństwa. Wiemy dobrze, że w napaściach na żydów nie występował stan włościański cały, ani nawet nigdy wszyscy mieszkańcy jednej wsi. Wiemy także, że ci, co należeli do napaści, byli podmówieni i prowadzeni. Jednak tego zataić nie możemy, i oni sami zaprzeczyć nie mogą, że ich chrześcijańskie sumienie musi być mocno przytępione, skoro się namówić dali do krzywdy bliźniego. To zaś nie wszystko. Tych co napadali na żydów było stosunkowo niewielu; ale tych co uwierzyli w księdza Stojałowskiego, co uważali go za prześladowaną ofiarę, za męczennika niży sprawy ludu, i co słuchali jego Mszy, szukali jego błogosławieństwa, kiedy zostawał pod klątwą, tych było wielu. A gdzie było wtedy ich sumienie? gdzie było choćby tylko zastanowienie i rozsądek, kiedy mogli przypuścić i uwierzyć, że biskupi i panowie sprzyśleli się przeciw chłopom? Wybór p. Daszyńskiego na posła także nie dowodzi, żeby tam wszystko było zdrowe, w sercach i w głowach. Podstawą popularności tego kandydata była obietnica podziału gruntów dworskich, czyli apetyt na cudzą własność, czyli chciwość. Czy to uczciwe i godziwe? A jednak kilkanaście tysięcy głosów chłopskich padło na tego kandydata, powodowanych tem uczuciem, tą żądzą

Robotnik miejski, przez socyalistów obrobiony, ten jest mniej liczny, ale głębiej, gruntowniej zepsuty. A ci co jednych i drugich prowadzą, ci (wiedzą o tem sami doskonale), ci są zepsuci i

przewrotni na wskrós, i mają szatańską prawdziwie pasję psucia ludzi. Udaje im się nie złe i na wsi, i w miastach między robotnikami, i na liniach kolei żelaznej, i między młodzieżą uniwersytetu, i nawet między kobietami. Że zaś zepsucie dochodzi aż do duchownych, i przez nich się szerzy, dowodzi ksiądz Stojałowski, i jego adherenci czy naśladowcy, nieliczni dotąd, ale bardzo gorszący swoim przykładem i wpływem. Nienawisć społeczna może zarazić i księży, a nigdzie nie wydaje się tak straszną, jak u tych, którzy przed innymi obowiązani są do miłości bliźniego i do cnoty. — Słyszeliśmy z ust wiarogodnego świadka, że sam na własne uszy słyszał, jak ksiądz jeden mówił na kazaniu: „Szlachta nie spowiada się nigdy, bo wstydi się ukłęknać w konfesjonale przed księdzem nie szlachcicem. A jeżeli spowiada się przed biskupem, to sobie z niego nie robi, bo z biskupem żyje w przyjaźni jak z równym sobie“ — reszty już nie wypisujemy, bo doprawdy i powtarzać grzech i wstyd. Ale gdzie ten ksiądz miał sumienie i czoło, kiedy tak kłamał, tak ludzi jednych psuł a drugich czernił? i to z ambony jeszcze?

Rzeczy podobnych i gorszych, moglibyśmy przytoczyć tysiące, gdybyśmy chcieli podawać tu wyjątki ze wszystkich *Naprzodów*, *Wieńców*, *Pszczółek*, *Praw Ludu*, *Przyjaciół Ludu*, *Robotników* i tak dalej. Ale gdybyśmy nawet chcieli, nie moglibyśmy, bo w „stanie wyjątkowym“ poszlibyśmy do kozy za samo powtórzenie tego, co w stanie zwykłym dochodzi bez przeszkody i bezkarnie, do rąk i do serc tysięcy i kroci ludzi. Poprzestajemy krótko na tem, że to pomieszanie pojąć, że to przytępienie honoru i sumienia, jakie u nas jest, to skutek i dzieła złych, przewrotnych dzienników. Przez trzydzieści z górą lat ustawi-

czne przekręcania i wykręty; nigdy prawdy jak jest, zawsze tylko jakaś mała jej część, przemieniona i przerobiona na co innego masą dodanego fałszu. Czarne robi się białem, a białe czarnem, podług tego jak każe interes osobisty, lub stronniczy. Człowiek uczciwy czasem nawet zasłużony, nigdy nie jest pewien swojej dobrej sławy i czei; człowiek bez wartości i bez zdolności, wyśrubowany jest na znakomitość dlatego, że jest użyteczny albo potrzebny jakiejś partii, jakiej politycznej czy społecznej nienawiści. Sprawa najlepsza, najkorzystniejsza, wystawiona jest jako szkodliwa i niebezpieczna dla Ludu, jeżeli nie dogadza jego protektorom i obrońcom, albo nie przez nich jest wniesiona. Niektóre pisma z katolickim pozorem i kolorem, a bez rzetelnie katolickiego ducha, ubiegają się o lepsze w wykrętach i kłamstwach, z pismami zakazanymi przez kościół. — Trwa to przez długie lata i wytwarza taki zamęt, taki chaos nieprawdy, zuchwałości, bezczelności, że w końcu prawie się ludziom w głowie miesza, i sami już nie wiedzą co mają myśleć, co prawda, a co kłamstwa? — Może to prawda, że ksiądz Stojalowski jest niewinną ofiarą prześladowań? Może on uczciwy, a biskupi przewrotni? Może to prawda, że szlachta czyha na zgubę chłopu i żyje jego krzywdą? Albo ja mam pomieszanie umysłu, mówi sobie człowiek, albo to wszystko nieprawda. Ale większość, ogół, daje się w końcu otumanić i zakrzyczeć. Jak w ciemnościach, jak w zawrocie głowy, traci prawie sąd, świadomość i rozeznanie prawdy od fałszu, bo prawie pojąć i uwierzyć nie może, żeby tyle bezczelności, tyle złej wiary, tyle nieczemności, rozchodziło się codzień po świecie. Rozchodzi się jednak, i nie znajduje oporu, tylko znajdowało wiarę.

Tem jesteśmy zarażeni najniebezpieczniej. Przywykliśmy i to we wszystkich warstwach społeczeństwa, do nieprawdy: i nie umiemy już prawdy ani rozeznaczyć, ani szanować. Bezwstyd kłamstwa i obłudy nie oburza nikogo, wydaje się rzeczą naturalną. udaje się — i wypłaca się wicherzycielom wpływem, stanowiskiem i znaczeniem: narodowi zepsuciem, sprawie jego upadkiem, jeżeli się to zepsucie nie naprawi. Kiedy trzy wieki temu Rzeczpospolita zaczęła się chylić do upadku za sprawą demagogów arystokratycznych, Górnicki tak kończył swoją *Rozmowę Polaka z Włochem*:

„Co dalej będzie Bóg sam to wie. Ale kiedy Rzeczpospolita w wolności przejdzie miarę, upaść musi. Kto wolności używać nie umie, temu jej szkoda. Macie wy wszystkiego dosyć Polacy, jeżeli który na świecie naród: ale dwu rzeczy onych od Jowisza na świat posłanych, jako stoi w księgach Platonowych *in Protagora*, tych u was skapo. Te dwie rzeczy są wstyd i sprawiedliwość. Zesłał je Jowisz, bojąc się, żeby naród ludzki do końca nie zginął, i kazał je rozdać między ludzi, aby były ozdobą człowieczą, przyczyną zgody i miłości i żeby miasta w Rzeczypospolitej trwać mogły.“

Przez ustawiczne kłamstwa, te dwie rzeczy, sprawiedliwość i wstyd, wytarły się w nas bardzo. Miejsce ich zajęła bezczelność złych, i niesprawiedliwość lepszych. A trzy wieki temu byliśmy wielkim potężnym państwem i „mieliśmy wszystkiego dosyć, jeżeli który na świecie naród.“ Dziś mamy wszystkiego za mało, i mniej niż każdy na świecie naród. A jeżeli wtedy, przez brak wstydu i sprawiedliwości, straciliśmy to wiele, cośmy mieli, to dziś, z tego nie wiele co nam jeszcze zostało, co ocalić zdołamy? Na to odpowiada

znowu ten sam pisarz, którego przytaczaliśmy wyżej, Grabowski: „Jeżeli w tym uporze swoim trwać będziecie, tedy ostatniego upadku ojczyzny swej wyglądajcie.“

Ale, pociesza on nas przecież w końcu: „jeżeli niebiegłość i nieostrożność i złość (tych lekarzy, o których mówił) szkodzić wam nadal nie będzie, to za zniesieniem tych ekscesów uśmierzy Pan Bóg gniew swój, i cofnie dekretu swego, już podobno na zgubę naszą ferowanego“.

Tamci, przodkowie nasi, trwali w swej niebiegłości, nieostrożności i złości, i dekret straszliwy wykonał się na Polsce. Nie trwajmyż my w tem samem złem, jeżeli się „od ostatecznego upadku“ ratować chcemy.

VI.

Kiedy w roku 1889 odezwało się po raz pierwszy otwarcie i wyraźnie hasło przeciwnictwa między chłopem a szlachcicem, przestrzegaliśmy że to są „próby rozstroju“, które jeżeli się powiodą, przyprowadzić mogą społeczeństwo polskie i jego sprawę o znaczne szkody. Kiedy przez sześć lat następnych te próby nie ustawały, kiedy ten rozstrój się zwiększał, a przy wyborach do Sejmu w roku 1895 objawił się namiętnem przeciwnictwem ludu wiejskiego do szlachty, przestrzegaliśmy znowu, że lud wiejski jest „między ładem a rozkładem“, i że jeżeli rozkład nie powstrzyma się prędko i czynnie, ład może być zachwianym i zburzonym na długo. Rzucaliśmy groch na ścianę. Potem już nie odzywaliśmy się, ale siedzieli cicho. Cóż było mówić? po co? i do kogo? Kiedy wszystkie pisma i wszystkie mowy na zgromadzeniach bezkarnie jątrzyły lud, i rozżarzały w nim zawiść, kiedy organizacja socjalistyczna szerzyła się bez przeszkody, kiedy ksiądz Stojalowski, spendowany naprzód, później wykłety, uchodził za świętego męczennika sprawy ludu, a biskupi za zawziętych okrutników naksztalt niby Anaszów i Kaifaszów, na co byłoby się zdało głos podnosić? Dla tych co jasno widzieli potrzebny on

nie był; a chwiejności jednych, nie byłby zwyciężył, niesłychanego zaślepienia drugich nie byłby przekonał, krzyku wszystkich pism i wszystkich mowców nie byłby zagłuszył. Szedł ten rozstrój i rozkład coraz dalej, swoim porządkiem, naturalną siłą rzeczy, która ma taki swój przyspieszony ruch, jak ciało spadające z góry na dół. Przyszedł rok 1897, i nowe wybory do Rady państwa na podstawie nowej ustawy; w wielu miejscach lud był tak otumaniony i podburzany, że posuwał się do gwałtów, paru ludzi przyprowadził o śmierć, padać musiały strzały! Dwadzieścia dwa tysiące głosów padło na pana Daszyńskiego, w nadziei zniesienia podatków i podziału gruntów. W innych okręgach kandydaci przechodzili w wyborach pod tem hasłem i warunkiem, żeby tylko broń Boże do Koła polskiego nie należeli. Rozstrój i rozkład dojrzał bardzo, i słowem oczywiście wstrzymać się nie dał. Cóż dopiero słowem szlachcica, obszarnika, stańczyka! Wreszcie ten system patrzenia na wszystko przez szpary, powożenia bez trzymania lejców w rękę, doprowadził do takiego rozstroju i rozkładu w państwie, że cała maszyna państwa zepsuła się i stanęła. Po burdach i bijatykach w parlamencie, jakich dotąd jeszcze świat nie był widział, po zmianach gabinetu na żądanie i krzyk rozzuchwalonej mniejszości Rady państwa, po powtarzanych a zawsze bezskutecznych usiłowaniach, żeby ta Rada państwa to przynajmniej zrobiła co dla powagi i bezpieczeństwa monarchii jest koniecznem, okazało się, że bezrząd doszedł do takiego już stopnia, który znieść się już nie da, bo grozi rozprężeniem i upadkiem.

To w państwie. A u nas w kraju?

Podżeganie i podburzanie ludu dojrzało tak do brze, że ukryci sprawcy zorganizowali napaści na

żydów. Sprawcom nie stało się nic, bo oni umieją zawsze zręcznie zniknąć w chwili niebezpieczeństwa. Ale były gwałty publiczne, było niszczenie cudzej własności, i były strzały, były trupy. Rząd ujrzał się w konieczności — niezaprzeczonej — ogłoszenia stanu oblężenia w kilku powiatach, a stanu wyjątkowego w połowie kraju.

To jest wypadek, fakt, zmiana w położeniu tego kraju: a wypadki mają to do siebie, że zmieniając położenie, wpływają czasem i na sąd o położeniu. Sprowadzają, mogą sprowadzić przynajmniej, pewne otrzeźwienie, pewien obrachunek z sobą samymi, zastanowienie czy postępowaaliśmy przed tym wypadkiem roztropnie i dobrze, lub też nierozsądnie i źle. W takich chwilach głos podnieść już można. Skutecznym może nie będzie, ale łatwiej może być słuchanym, kiedy wypadki musiały wielu jeżeli nie wszystkich przekonać, że w tych przestrojach i uwagach było jednak coś prawdy. Nie ludzimy się marną nadzieją, jakoby cały lud wiejski był przejrzał i otrzeźwiał; ale przypuszczamy, że są wśród niego ludzie, którzy pytają się teraz co są wari ich doradcy i mniemani obrońcy, i jak lud dobrze wyszedł na tem, że ich słuchał. Rząd, który musiał uciec się do środków surowych, musiał także spostrzedz się do czego prowadzi patrzenie przez szpary i bezkarność. Inne zaś części składowe społeczeństwa, te które oddawna widziały potrzebę ratunku i ogładały się za środkami tego ratunku, te niewątpliwie chętniej i energiczniej wezmą się do dzieła, kiedy znajdą sposobność, punkt wyjścia. Smutne wypadki mają tę przynajmniej dobrą stronę, że łączą ludzi jednych przekonań i jednych celów.

O co nam teraz chodzi? Nam Polakom; nam Galicyi części austriackiego państwa, i nam na-

rodowi jako całości, jego sprawie, jego przyszłości?

O to oczywiście, żeby te wypadki, które zaszyły, nie były początkiem dalszych gorszych, ale żeby były przesileniem w chorobie, od którego pocznie się stopniowy powrót do sił i zdrowia. Może nastąpić i jedno i drugie. Może ten jad, który w nas jest, który się jątrzył i zbierał, zostać w nas nadal i sprowadzać coraz większe zakażenie krwi i próchnienie kości; mogą po tym jednym wrzodzie, który pękł, tworzyć się coraz nowe, większe i gorsze: albo może ten jeden być ostatnim. — Pękł, zła materya wypłynęła, dobre pierwiastki mogą w ciele wziąć górę i przywrócić je do dobrego stanu. Co będzie i na czym się skończy, tego oczywiście przewidzieć nie możemy; ale jest chwila i sposobność po temu, żeby się leczyć. Wyzdrowienie zależy od tego, czy złe, czy też dobre pierwiastki, siły, i dążności w naszym społeczeństwie wezmą górę.

Na co się zanosi? jakie mamy dotąd oznaki naszych usposobień w tem zmienionem położeniu?

Rzecz prosta, że ono nas nie mogło otrzeźwić ani od razu, ani wszystkich. Złe jest uparte, broni się zawzięcie, i bardzo zręcznie umie udawać się za dobre. Jesteśmy też z góry o tem przekonani i na to przygotowani, że wszystkie dążności przewrotne, na razie okielznane stanem wyjątkowym, będą skrycie nurtowały tem skwapliwiej, im bardziej czują się zagrożonemi skutkiem oczywiście złym swoich obietnic i działań. Niejasność i zamieszanie pojęć także nie ustępuje łatwo, ani prędko: owszem te zwykle najgłębiej się zakorzeniają i opierają się najdłużej. Wszystko to zostanie zatem i dalej przeszkadzać będzie. Nieufność i zawiść do obszarnika zostanie u pewnej części ludności wiejskiej, a pan Daszyński lub

ksiądz Stojalowski przejdzie w legendę, jako bohater i dobroczyńca, który byłby zmienił dolę ludu i postać świata, gdyby mu panowie nie byli przeszkodzili. Zwykła u ludzi chęć zrzuć odpowiedzialności z siebie, a zwalenia jej na innych, wykręty, pochlebstwa, i partyjna dążność lub doktryna, objawiają się w traktowaniu tej sprawy, tak samo jak objawiały się przed nią. Ksiądz Stojalowski pochlebia tym, którzy napadali na żydów, kiedy pisze w swoich gazetkach, że to były małe, nieszkodliwe burdy, które na tak surowe środki i kary nie zasługiwały. *Słowo Polskie*, lwowski organ wiedeńskiego liberalizmu z Rady państwa, pisze, że temu, co się stało, winna szlachta, a w szczególności Koło polskie. Oni nic nie zrobili, a jeżeli co zrobili, to złe. Zupelnie ci lekarze Grabowskiego ze „Zwierciadła Rzeczypospolitej“ co utrzymują i w ludzi wmawiają, że „powodem wszystkiego złego są królowie“. Osięga si tem skutek podwójny: podchlebi się ludowi, zyska się może jego łaski, kiedy mu się powie, że on nic nie winien i... osłabi się ufność do tego Koła w Wiedniu, które tylko wtedy mogłoby być dobrem, gdyby trzymało z liberalną lewicą Rady państwa i z nią razem składało większość! Te objawy są zupełnie naturalne i nie mogą dziwić nikogo. Dziwnym był dotąd tylko jeden. Rada miejska krakowska powzięła uchwałę, mocą której ma prosić u rządu, żeby stan wyjątkowy był zniesiony jak najprędzej? Czy ten stan wyjątkowy uszczupla lub niepokoi w czemkolwiek narodowe kraju wolności i prawa? Nie. Czy krępuje w czemkolwiek jego samorząd, czynności Rad gminnych, powiatowych, lub wydziału krajowego? Nie. Czy grozi jaką szkodą materyalnym, ekonomicznym interesom, czy miasta, czy kraju? Nie. A więc komu on

szkodzi? Komu może zależeć na jego najrychlejszym zniesieniu? Tym ludziom tylko, którzy zaburzenia wywołali; tym pismom, które się do nich ciąglem jatrzeniem przyczyniły, i redaktorom tych pism. Ci istotnie znaleźli się w położeniu niewygodnem i nieprzyjemnem. Ale jaki interes narodowy, polityczny lub społeczny, jaki interes lokalny miejski, każe Radzie miejskiej żałować, że ci ludzie nie mogą tak bez przeszkody działać, jak przedtem, i domagać się, żeby dalsze jatrzenie i wichrzenie było im czemprędzej ułatwionem? Nie interes żaden, nie względ na żadne istotne dobro, tylko dwie rzeczy. Częścią pomieszanie pojęć: teoretyczna świadomość (słuszna), że konstytucyjne swobody są dobre i powinny być szanowane, i praktyczna nieświadomość, że konstytucyjne swobody stają się złemi, kiedy ich źli ludzie nadużywają do burzenia społecznego spokoju. To jest jeden powód tej uchwały. A drugim kto wie czy nie jest chęć popularności, chęć zrobienia sobie zasługi przed tymi ludźmi i pismami, którym stan wyjątkowy utrudnia ich działanie. — W każdym razie taka uchwała jest oznaką dość znaczącą. Rząd, który w danych okolicznościach nie mógł postąpić inaczej, który zrobił to, co zrobić musiał i był powinien, wnosić naturalnie może, że postąpił wbrew woli i przekonaniu kraju, skoro reprezentacja miasta tak poważnego i znaczącego jak Kraków, oświadcza się przeciw temu, co rząd zrobił w najlepszej wierze i właśnie w interesie tego miasta i kraju.

Nie możemy się dziwić, niestety, że stronnictwo demokratyczne i stronnictwo ludowe, zebrały się we Lwowie na wspólną naradę, i uchwałyły protest czy petycję przeciw stanowi wyjątkowemu. Dziwimy się tylko — ale za to dziwimy się bardzo — niektórym ludziom, kilku,

że na odezwie chcieli położyć swoje podpisy, a na owem zebraniu byli obecni. Powód jego i cel jest zupełnie jasny i zrozumiały. 1. Ułatwienie i utrzymanie niepokoju w kraju; 2. Popularność stronnictwa demokratycznego u stronnictwa ludowego, przez to nadzieja wpływu i większej liczby mandatów przy jakich przyszłych wyborach; 3. Rozbicie, a przynajmniej osłabienie Koła polskiego w Wiedniu, albo przez ubytek kilku głosów, jeżeli członkowie stronnictwa demokratycznego przejdą do klubu, złożonego dotąd z samych tak zwanych ludowców, albo przez zwątlenie i zniszczenie jego solidarności.

W każdym razie i cel zły, i skutek zły i źle osłonięty, źle zamaskowany dbałością o konstytucyjne swobody. Między tymi, co odezwę podpisali, i za uchwałą wotowali, są ludzie, którzy do takiej roboty nie powinni byli ręki przyłożyć. Tym się dziwimy: ale tylko tym.

Inicyatorowie i autorowie odezwy i uchwały, zrobili w tym razie to samo, co robią zawsze, przez całe życie. O ile są liberalni, a nie radykalni, stwierdzili tylko to, cośmy o nich wyżej powiedzieli, to mianowicie, że siedzą na dwóch stołkach, a nie mając środka ciężkości i punktu oparcia w swoich zasadach, muszą po swojej równi pochyłej staczać się do radykalizmu. Czy do tego dzisiejszego kroku, szkodliwego dla Polski, gdyby miał być skutecznym, ciągnęła ich liberalna doktryna i miłość do wiedeńskiej lewicy, czy może (jak w niejednym innym u nas razie) posłuszeństwo dla rozkazów jakichś z góry i z zewnątrz odebranych, i ciągnęła ta umiłowana zasada, którą w działaniu tych ludzi czy stronnictw widzimy często, a wytykaliśmy już nieraz; teorya przeczenia: negacya tego, co jest warunkiem równowagi i ładu w społeczeństwie — pojęta jako

środek postępu, a istota demokracji, to tylko oni sami mogą wiedzieć.

Słyszeliśmy, nie od Polaków, ale od obywateli innych krajów monarchii austriacko-węgierskiej, że rząd nie był jeszcze dość stanowczym, że i w tym razie postąpił połowicznie. Naprzód, mówili oni, rząd powinien był ogłosić stan oblężenia i stan wyjątkowy wcześniej, jak tylko się zaczęły pierwsze rozruchy w jasielskiem. Powtóre, powinien był rozciągnąć stan wyjątkowy jeżeli nie na cały kraj, to przynajmniej na większą liczbę powiatów. Cóż z tego, że w Krakowie lub Sączu nie będą wychodziły podburzające pisma, jeżeli będą wychodziły we Lwowie, a ztamtąd będą się przekradały wszędzie? Zrobiono za wiele jeżeli nie było istotnego niebezpieczeństwa życia i mienia obywateli: zrobiono nie dosyć, jeżeli to niebezpieczeństwo było istotnem.

Takie są zdania obcych. My własnego w tej mierze nie mamy. Przestajemy na tem, że rząd zrobił to, co był powinien; zakres terytoryalny, w jakim to zrobił, należy zupełnie zostawić jego uznaniu i znajomości położenia. To, co do granic stanu wyjątkowego w przestrzeni. Jego granice w czasie, nie mogą według naszego przekonania być blizkie. Nie zgubniejszego dla wszelkiej polityki, a zwłaszcza dla wszelkiej władzy, jak zrobić pewien krok, a potem cofać go i odwoływać z pośpiechem. Nie bardziej nie dowodzi chwiejności i słabości rządu, nie tak nie ośmiela i nie rozzuchwala jego przeciwników, nie tak nie obala jego powagi. Rząd, który po rozwadze, na podstawie istotnej pewnych stosunków, powziął jakieś postanowienie i wydał jakieś rozporządzenie, a potem za lada powiewem wiatru postanowienie zmienił, a rozporządzenie cofnął, musi wydać się każdemu rządem lekkomyślnym, nie statecznym.

Dobrzy obywatele tracą do niego zaufanie, żli tracą respekt przed nim. Oprócz tego względu zaś jest jeszcze drugi. Stan wyjątkowy nie jest na to tylko, żeby pewną liczbę wichrzycieli uśmierzyć, ale na to także, aby uspokoić rozdrażnione nerwy i rozgorączkowany temperament ludności. To się nie da osiągnąć z dnia na dzień, to wymaga czasu. Gdyby dziś, jutro, lub kiedykolwiek w krótkim czasie, wszystkie obecnie zawieszone *Naprzody* i *Wieńce* zaczęły wypisywać to samo, co pisały przez te wszystkie lata, gdyby ci sami lub inni oratorowie powtarzali na zgromadzeniach to samo, co zawsze mówili, tylko wścieklej, bo mszcząc się za swoje chwilowe milczenie, odnieśliby oni zwycięstwo, tryumf nad rządem — i nad społecznym porządkiem. I byłby drugi błąd gorszy, niż pierwszy, *pejor medicina morbo*. Kiedy Ojciec św., w nadziei pokuty i poprawy księdza Stojałowskiego, zdjął z niego kłatwę, ksiądz Stojałowski tłumaczył to ludowi, jako swoje zwycięstwo nad biskupami. Ten przykład jest przestrożą i powinien zostać w pamięci. Wszyscy wichrzyciele mówiliby, że rząd przyznał im prawo i słuszość, i że się ich uląkł, gdyby z nich pośpiesznie zdjął te ograniczenia, które zbyt powolnie i nieśmiało nakładał.

Będzie zapewne dużo krzyku, że to reakcja.

Co to jest reakcja? To jest zwrot przeciw jakiemuś kierunkowi, wywołany jego nadmiarem i nadużyciem. Dzień 9. Thermidora był reakcją przeciw Terrorowi; 18. Brumaira był reakcją przeciw nieporadności, niedołęstwu Dyrektoryatu. Napoleon nadużył sił i krwi Francji w wojnach, i sprowadził tem reakcyę, łatwe i dobre przyjęcie Burbonów. Od roku 1848 to słowo zaczęło służyć na oznaczenie wszystkiego, co opinii liberalnym i radykalnym wydawało się przeciwnem

wolności i postępowi, jak one je pojmują. Od tego czasu słowo to stało się takim postrachem, że niejeden woli raczej postępować niezgodnie ze swoim przekonaniem, niż narazić się na oskarżenie, że jest reakcyjnym. Tymczasem reakcja jest zła, jeżeli zachodzi przeciw zasadom lub stosunkom dobrym: może być dobrą, jeżeli się zwraca przeciw złemu. Reakcja przeciw prawu, wolności, narodowości, na korzyść absolutyzmu i centralizmu, jest oczywiście zła. Ale jeżeli bezpieczeństwo życia i mienia obywateli jest zagrożone a rząd wtedy, na pewien czas zawiesi niektóre swobody konstytucyjne, on wtedy robi to w interesie i w obronie wolności przeciw anarchii. Reakcja taka, jaką zaprowadził baron Bach po roku 1848, była złą, niegodziwą, i w dodatku głupią, bo w skutkach szkodliwa dla Państwa. Ale dzisiejszy stan wyjątkowy w Galicyi nie ma ani najmniejszego cienia podobieństwa do tego, co było wówczas. Żadne prawo narodu, żadna instytucja, nie jest zachwiana ani zagrożona: powstrzymana jest tylko swawola, anarchia, z konieczności, ze względu na spokój kraju i na obowiązek rządu. Jeżeli więc będą nam czarnymi kolorami malować straszne widmo reakcji, nie potrzebujemy ani się bać, ani zwłaszcza wierzyć.

Spytajmy teraz, czy mamy między sobą oznaki usposobień, wyobrażeń i dążeń sprawiedliwych i roztropniejszych?

Niewątpliwie i niezaprzeczenie: tak.

Bezbożność przesiąka od socjalistów do ludności miejskiej, bunt przeciw Kościołowi, zamaskowany pobożnością, szerzy się po wsiach za sprawą księdza Stojalowskiego: ale naprzeciw tym objawom złym, możemy postawić szerzące się, i co ważniejsza ustalające się, katolickie przekonania, otwarcie wyznawane i czynnie wprowadzane w ży-

cie. Część ludności wiejskiej dała się otumaniać lub porwać przez wicherzycieli, ale w każdej okolicy, w każdej wsi prawie, była inna część ludności, która i myślała rozumniej i postępowała poważniej. Na żydów napadali obcy przychodnie albo młokosy: gospodarze nie podnieśli na nich ręki. Pismo *Związek chłopski* zajęło w tych sprawach stanowisko słuszniejsze i rozsądniejsze, niż nie jeden z tak zwanych wielkich dzienników krajowych. Związki Przyjaźni, zakładane po miastach są nie tylko oznaką, ale zadatkami, początkami i środkiem, świadomego własnowolnego oporu przeciw złym dążnościom. Nawet nasz bierny konserwatyzm zaczyna wychodzić ze swego słodkiego *far niente*. Klub konserwatywny, zawiązany w Krakowie przez samych ludzi młodych, a obrabiający systematycznie i umiejętnie wszystkie po kolei bieżące i palące kwestje społeczne i ekonomiczne, może skutecznie działać na prostowanie i wyrabianie się naszych pojęć i zasad. Są więc warunki i są pierwiastki potrzebne do oporu przeciw opiniom fałszywym i dążnościom przewrotnym, do pracowania w celu społecznej równowagi i zgody. Świeże wypadki, które pokazały wszem wobec, jak dalece ta zgoda i równowaga jest zepsuta, mogą, a raczej muszą, natechnąć każdego tem przekonaniem, przez samo tylko najprostsze uczucie obowiązku, że powinniśmy nie ustawać, nie opuszczać się, ale owszem podwoić i potroić usilność, dobrą wolę i energję, żeby stawić czoło niebezpieczeństwu, które nas podmywa jak woda stały ląd, i nad niem zapanować.

Co dałoby się w tym celu zrobić?

To co zrobił rząd, stan wyjątkowy, to był środek na razie konieczny; ale to nie wystarcza, bo środek jest naprzód mechaniczny tylko, a potem jest czasowy, nie może i nie powinien być trwa-

łym. Potrzeba jest czegoś głębszego i czegoś ciągłego: a to coś musimy znaleźć i robić wszyscy.

Co może i co ma zrobić Kościół, to on sam najlepiej będzie wiedział. My nie mamy prawa ani byśmy umieli to określić: widzimy tylko, że wpływ Kościoła, że jego akcja i ciąglymi, i w tym razie może jakimiś jednorazowymi środkami, zastosowanymi do okoliczności, jest nieodzownie potrzebna.

Obok tej, jako druga najważniejsza, występuje akcja innego rodzaju, świecka. Zły stan ekonomiczny, bieda, jest głównym źródłem złego stanu moralnego i społecznego: na ten stan ekonomiczny powinniśmy zwrócić się i wyteńczyć nasze główne usiłowania. Ludzie młodzi, którzy w czynne życie wstępują, i ci, którzy się jeszcze uczą, dobrze robią i najlepiej sposobią się do skutecznej służby ojczyzny, kiedy biorą się do nauk społecznych i ekonomicznych. To jest ten kierunek, w którym patriotyzm polski obecnie najsprężniej powinien się objawiać i działać: to jest zadanie najbliższe, które rozwiązaniem być musi, bo na tej podstawie dopiero mogą się dobrze oprzeć i rozwiązać zadania inne. Jakie mamy sposoby działania na tem polu? — Czy sejm na przykład może jakimi prawami, i jakimi, wpływać na poprawę naszych stosunków agrarnych, zabezpieczać i mniejszą własność i średnią? Czy sejm, lub przedsiębiorstwa po za nim, miałyby możność i sposoby stopniowego zaradzenia na przeludnienie kraju, przez stworzenie środków utrzymania dla ludności bezrolnej i bezdomnej? Czy i jakie są sposoby otworzenia taniego kredytu dla własności ziemskiej, a to w zakładach, prowadzonych i kontrolowanych przez ludzi zupełnie pewnych? My ani tych stosunków ani tych środków nie znamy, wskazać ich nie możemy. Ekonomiści

z nauki, gospodarze i przemyslowcy z praktyki, powinni tu swoje słowo powiedzieć i nauczyć nas wszystkich, co robić mamy, co i w jakiej mierze zrobić możemy. Kto się na tych rzeczach nie rozumie, ten powinien zdać się na biegłych i doświadczonych, za nimi iść, a jeżeli oni wskażą jaki środek i pomysł, w miarę możności pomagać do jego wykonania. To wszakże widzi każdy, że gruntowne zbadanie biedy na wsi, jej powodów, jej rozmiarów i jej najzwyczajniejszych skutków, że rozpoznanie dokładne rzeczywistych uciążliwości włościanina, nie tych wszystkich, o których deklamują demagogi, ale tych, co zachodzą istotnie, musi być podstawą tej akcji: jej celem usunięcie złego: jej kresem zgodny i zdrowy stan społeczny — a prawdziwie jedyny i silny stan polityczny.

Ale oprócz tego wszystkiego jest jeszcze jedno do poprawy. Dobrze u nas nie jest, czasu i sposobności straciło się już dużo, im więcej go jeszcze stracimy, tem naprawiać będzie trudniej; a wszystkim, ile nas jest, wsiom czy miastom, szlachcie czy nieszlachcie, świeckim czy duchownym, byle na prawdę katolikom, Polakom, i porządnym ludziom, zależy na tem, żeby było lepiej. Zepsucie rozeszło się u nas dość szeroko i dość głęboko wsiąkło; a wszyscy, co to widzą i skutków słusznie się obawiają, powołani są do tego, żeby koło siebie złemu stawiać zapory, a dobre szerzyć. Nasi przeciwnicy znajdują w swoich złych żądzach i zasadach fałszywych popęd silny do energicznego działania: chwalą się sami otwarciem, jak pięknie udało im się rozciągnąć po kraju sieć swojej organizacji — i biedne, nieświadome ryby w tę sieć łowić. Działanie dobre nie przyjmie się nigdy tak łatwo i prędko jak złe, takie już prawo naszego świata i taka na-

tura ludzka. Ale dlaczego nie mogłoby wcale się przyjmować i rozechodzić? — Jeżeli na przykład „Przyjaźnie“ rozwijają się pomyślnie w miastach kilku, czemu nie mogłyby się zawiązać i rozwijać w kilkunastu? Jeżeli „Klub konserwatywny“ może w Krakowie rozbierać w sprawozdaniach i dyskusjach różne krajowe sprawy i stosunki, dlaczego na wzór jego nie mogłyby powstawać podobne w miastach innych? Może ich skład musiałby być odmienny: mniej ludzi uczonych, mniej profesorów, a więcej gospodarzy, księży? I owszem, tem lepiej. Niech ludzie różnych stanów, różnych powołań, różnego położenia majątkowego, rozprawiają o tych rzeczach ze swego punktu widzenia: wszyscy lepiej przez to wyrozumieją i zgłębią rzecz samą. Byle wszyscy przystępowali do niej w dobrym duchu, z dobrą wiarą i wolą: i w jednym celu, żeby szukać rady na to, co dolega, a opierać się temu, co psuje. Takie miejscowe, w małym zakresie, zbliżenia i związki, mogłyby wiele rozjaśnić, wiele uprzedzeń usunąć, wiele zgody przygotować i wiele siły przysporzyć.

Nasiąkło u nas z różnych stron, różnemi porami, wiele złego, wiele nieprawdy, wiele nieuczciwości: musimy się z tego wydobyć i wytrześć. Tego zaś nie zrobi dla nas i za nas nikt, to możemy zrobić tylko my sami. Kiedy chcemy powiedzieć w naszym polskim języku o człowieku jakim, co może być najgorszego, mówimy, że to człowiek bez czci i wiary. Narody i społeczeństwa mogą także cześć i wiarę tracić, jeżeli się długo dają uwodzić przez ludzi, którzy czci i wiary nie mają. Mamy przykłady na dwóch narodach tak szczególnie obdarzonych, że możnaby je nazwać zepsutemi dziećmi Pana Boga. We Francji, widzimy w przeciągu lat kilku równie bolesne jak gorszące oskarżenia i procesa o przekupstwa

i oszustwa, o przeniewierstwa i szpiegostwa, które spadają na posłów i senatorów, na ministrów i sędziów, na wojskowych nawet: nikt nie wie, gdzie się to zatrzyma, nikt nie wie, kto czysty, a kto zabrukany, nikt już prawie w czystość i prawość drugich nie wierzy: a wstyd i szkoda z tego zepsucia spada na ojczyznę całą, na Francję. Włochy z niewidzianem na świecie szczęściem doszły do swojej jedności i niepodległości, mają bogactwo ziemi i bogactwo zdolności, jak może żaden inny naród w Europie: a dziś lud upada pod ciężarem podatków, wojsko daje się bić przez murzynów, uzbrojonych w dzidy i włócznie, miasta się burzą przeciw tej jedności, a piecuniczne szachrajstwa wielkich figur zamazują się, ile możności po cichu, żeby jako tako udać przed światem, że ich nie było.

Jakim sposobem takie dwa ludy świetne, takie dwa państwa wielkie, doszły do takiego poniżenia? Dwojakim sposobem. Jeden był ten, że do rzeczy publicznej, do poselstwa, do urzędu, do rządu, do zarządu instytucji i przedsiębiorstw finansowych, cisnęli się i dostawali się ludzie, którzy o rzeczy publicznej wiele i szumnie mówili, ale rzecz publiczną mieli na prawdę za środek forytowania rzeczy swojej własnej, znaczenia, rozgłosu, najczęściej majątku. A ludzie porządni pozwalali, znosili, milczeli. Szujski ma świętą rację, kiedy mówi: „Łotr rządzi? — bo uczeiwy puścił go do sprawy“! A drugi sposób to była ta nieprawda, która przez dzienniki dostawała się do opinii i do przekonania ogółu. Ona wystawiała przedsiębiorstwo niepewne, szalbiercze, za bardzo korzystne. Ona zwodziła co do ludzi i stronnictw, i uczyła na przykład Francuzów, że najniebezpieczniejszym wrogiem jest ksiądz. Ona przechwalala, wynosiła pod niebiosy ludzi małej

zdolności i lichego charakteru. Ona tak otumanila umysły, a stępiła zmysł honoru, że ogół albo zamykał oczy na występki i brudy, albo udawał, że ich nie widzi, albo (co najgorzej) myślał, że wszystko ujdzie i wszystko da się zamazać lub wyprać, jeżeli człowiek ma jakieś znaczenie w świecie, i kieszeń dobrze napechaną.

My nie jesteśmy Francuzami, ani Włochami; my jesteśmy od nich bez żadnego porównania słabsi, ubożsi, ciemniejsi i nieszczęśliwsi. Jeżeli u nich takie powody wydały, jako swój skutek, szkodę i wstyd, to nam przyniosłyby wstyd, jak im, ale szkodę nierównie gorszą. Nam zdrowie narodu potrzebniejsze, niż wszystkim innym, bośmy naród najslabszy ze wszystkich. To zdrowie zaś zasadza się na czci i wierze. Na wierze w Boga naprzód: wierze katolickiej, nie tylko ustami dla formy wyznawanej, ale głęboko i rzetelnie do serca wziętej, i w życiu uczciwie stosowanej. Potem na tej dobrej wierze, która jest podstawą wszelkiej uczciwości w prywatnem i publicznem życiu, która nie kłamie, nie kręci, nie oszukuje ani w pieniężnych, ani w rodzinnych, ani w politycznych sprawach i stosunkach. Z tą się łączy, na niej się zasadza, cześć, honor: to, co narodom, jak ludziom, daje prawo do własnego i ludzkiego szacunku.

Starają się ludzie, źli umyślnie, a głupi bezwiednie, tę cześć i wiarę u nas wytrzeć i z nas wypławić. Nie dajmyż się! Coby nam dziś było potrzebne, oprócz tego co sprawić może kościół, oprócz tego co sprawić mogą ekonomiczne i agrarne reformy, to przymierze ku obronie czci i wiary. Każdy stan, nawet niejedna odmienna opinia polityczna, mogłaby się w takim zmieścić i do takiego przylączyć. Przymierze ludzi stałej wiary i stałych zasad, jakiekolwiek ich stanowisko

w świecie, powołanie czy majątek; przymierze na to żeby czci i wiary strzedz w sobie i koło siebie, i strzedz jej przed zamachami i podstępami nieprzyjaciela.

Taki zastęp ludzi mały w jednej wsi, większy w miasteczku, w powiecie mógłby już być wcale pokaźnym, i na wszystkie jego sprawy dobrze a skutecznie wpływać. Gdyby się znalazł na wielu miejscach i w wieś powiatów, mógłby i w kraju zaważyć. Mógłby zwłaszcza mieć ten wpływ zbawienny i tę nieocenioną w ojczyźnie zasługę, że z czasem może wyrobiłby opinię uczciwą i rozumną, rozeznającą co złe a co dobre, co rzetelne a co udane, szanującą to co szacunku godne, surową dla tego co przewrotne albo brudne.

Czy to możebne? Nie łatwo zapewne, ale nie myślimy przecie, żeby było całkiem do zrobienia niepodobne: a potrzebne zaś jest bardzo. Bo widzimy przecie wyraźnie, że jak za onych czasów kiedy nas Skarga o niechybnym upadku przestrzegał, „namnożyło się w tem królestwie ludzi złych bardzo, którzy gdzie mogą bunt i zmywy czynią, na urząd Boży szemrać i potwarze zmyślając, i do rozruchów i nowin namawiając. Niepokojni, łakomi, niesprawiedliwi, sieją wszędzie niezgody, nie na dobro pospolite nie pomną, a tę łódkę, na której się wszyscy wieziem, swoim bieganiem chwiejąc, do zanurzenia ją i utopienia przywodzą. Zginęła w tem królestwie karność, nikt się urzędów ani praw nie boi: a bez karności, bez mocy i poszanowania prawa, Rzeczpospolita wszystka się rozsypuje, jak beczka gdy z niej obręcze opadną... W ciele żaden członek nie dobrego sobie obiecywać nie może, jeżeli się z drugimi nie zwiąże. Tak i w Rzeczypospolitej, kto tylko pojedynkowe dobre mienie miluje, a o pospolite niedba, aby się ze wszystkimi wiązał,

zginąć musi, bo żywota nie masz, jeno na wspólnem ciebie, przy wszystkich. Ten najmiłszy okręt ojczyzny naszej wszystkich nas niesie, wszystko w nim mamy co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, zatonię, i z nim my sami poginiemy“.

Skończmy wreszcie tę długą rozprawę i skończmy ją także słowami Skargi: „Uwesołże nas Panie za te dni, którychś nas poniżył, a daj nam lepsze lata“.

Tylko do tej prośby, powtórzonej za największym z duchów polskich dawnego czasu, dodajmy, przestrozę najżałośniejszego i politycznie najgłębszego myśliciela i pisarza Polski porozbiorowej. Krasiński mówi: „Bóg bez nas samych nie może nas zbawić“. Nie może nas także, bez nas samych poprawić. Weźmy to do serca i zapamiętajmy.



39161

1011.6